



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXX Nr 10(350) Żelów, październik 2025

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Barbary Gajewskiej, Michała Kaczmarka, Zuzanny Marciniak, Elżbiety Musiał, Juliusza Wątroby

Andrzej Dębkowski – *W trosce o zdrową głupotę; Zmarł Andrzej Grabowski pisarz i działacz kultury oraz „Pytany cień”*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (228)

prof. Ignacy S. Fiut – *Poezja jako rzecz pożądana*

Stefan Jurkowski – *Podróż na jeden śrubokręt*

Joanna Friedrich – *Dubbing podwodnych stworów*

Andrzej Walter – *Co też nam się przytrafiło?* oraz *Kultura bez kultury*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (73)

Adam Lizakowski – *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (3)

Andrzej Wołosewicz – *Kultura bez literatury?*

Dariusz Pawlicki – *Piasek, tylko piasek...*

Robert Rudiak – *Duchowa głębia istnienia*

Mirosław G. Majewski – *Buszujący w antykwariatach* (3)

Janusz Orlikowski – *Mój Dajmonion po raz drugi*

Małgorzata Hrycaj – *Konkurs poetycki im.*

Józefa Burszewicza

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia

GAZETA KULTURALNA

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KULTURALNY

350.



Konkursy

Konkurs Poetycki imienia Józefa Bursewicza 2016-2025

Rok 2025 jest dla szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich rokiem wyjątkowym, jubileuszowym, w listopadzie obchodzić będzie uroczyste 75-lecie twórczej działalności. W okresie tym zawiera się również jubileusz związany z organizowaną co roku od 10 lat Zachodniopomorską, a w jej ramach Szczecińską Wiosną Poezji. Szereg wydarzeń wypełniających od dekady kolejne Wiosny Poezji, służy popularyzowaniu tej dziedziny w regionie, w kraju, na świecie za pomocą wyszukanych, wciąż modernizowanych środków przekazu. Ukoronowaniem tych działań są coroczne edycje Konkursu Poetyckiego im. Józefa Bursewicza „O Złotą Metaforę”. Patronem konkursu jest twórca Grupy Poetyckiej „Metafora”, w skład której na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku wchodził mieszkający w Szczecinie Artyści: Andrzej Maria Dzierżanowski, Ryszard Grabowski, Janusz Krzyżmiński i Edward Balcerzan, a organizatorem Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie.

Konkurs imienia Józefa Bursewicza od samego początku cieszył się dużym zainteresowaniem wśród twórców w Polsce i na świecie, dlatego od 2023 roku zyskał miano „Międzynarodowego”, dla przykładu, w ubiegłym roku do poetek i poetów z Polski dołączyli artyści z Austrii, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Szwecji, Ukrainy i Wielkiej Brytanii.

Wśród minionych edycji tego poetyckiego współzawodnictwa zdarzały się „dwutorowe”. Taka była pierwsza odsłona konkursu, w której oprócz laureatów „Złotej Metafory” wyłoniono również zwycięzców rywalizacji o „Złotą Metaforę Szczecińską”. Również w roku 2018, w związku z tysiącleciem odzyskania przez Polskę niepodległości, poetki i poeci przysyłali na konkurs dodatkowo wiersze mieszczące się w kategorii „Metafora Niepodległa”. Szczególna sytuacja wydarzyła się w roku 2022, kiedy w związku z agresją wojsk rosyjskich na Ukrainę, konkurs odbywał się w kierunku wyłonienia najlepszych utworów objętych mianem „Metafory Antywojennej”.

Z opisywanym szczecińskim konkursem łączy się szereg artystycznych inicjatyw. Obfitowały w nie szczególnie konkursy organizowane w pierwszych latach; kiedy zakończenie każdego z nich, wpisane w finał Szczecińskiej Wiosny Poezji, stanowiło swoistą artystyczną Uczę na cześć Poezji, Przyjaźni, Pokoju, Piękna; bowiem w takim duchu odbywały się koncerty, w których muzyka grana przez młodych profesjonalnych artystów i recytowane przez lektorów (m.in. ze szczecińskiego Teatru Współczesnego) poetyckie Słowo, przenikało się i przezmawiało do słuchaczy ze zdwojoną siłą. Niezwykle było też tło tych „spektakli” – tonący w kwiatach szczeciński Ogród Różany. Wzbogaceniu wizualnych doznań służyły również Plenerowe Wystawy Wierszy usytuowane wzdłuż

alei pod pergolą na „Różance”, eksponujące (między innymi) wiersze laureatów konkursu. Ostatnie trzy lata przyniosły zmiany, gale finałowe przeniesione zostały w gościnne progi szczecińskiej zabytkowej Willi Lentza.

W roku 2025 zakończenie poetyckiego konkursu imienia Józefa Bursewicza, ze względu na wspomniany Jubileusz, miało szczególnie uroczysty wymiar.

Mieliśmy przyjemność gościć zdobywczynię Grand Prix – Monikę Elizę Rokicką, która przybyła do Willi Lentza z Warszawy i otrzymała piękną kryształową statuetkę, stanowiącą od pierwszej edycji nagrodę główną. Niestety zarówno laureat drugiego miejsca – Cezary Żarna z Legionowa, jak i Katarzyna Jezierska ze Skarżysko-Kamiennej, nie mogli przybyć na naszą uroczystość. Wzięły w niej za to udział dwie laureatki równorzędnych wyróżnień: Aleksandra Dybowska z Pruszkowa oraz Monika Miłoś z Dobiegniewa; zabrakło tylko Arkadiusza Stosura z Krakowa, trzeciego wyróżnionego. W tegorocznym konkursie, oprócz uhonorowania twórców wierszy nagrodzonych, wyróżnionych oraz czternastu wierszy „zauważonych”, przyznana została też Nagroda Specjalna, ufundowana przez Panią Dyrektora Willi Lentza – Jadwigę Kimber. Otrzymała ją Cezary Żarna za wiersz *** (Mówisz – nie pisz).



Zdobywczyni Grand Prix – Monika Eliza Rokicka

Uczestnicy Gali Pokonkursowej przybyli do pięknej zabytkowej Willi Lentza mieli możliwość wysłuchania wierszy Laureatek i Laureatów konkursu w ramach wyjątkowego koncertu słowno-muzycznego „...jak dobrze, że jest wiersz”, w którym wystąpili Artyści z Teatru Współczesnego w Szczecinie: Krystyna Maksymowicz i Konrad Pawicki, profesjonalnie recytujący wiersze, Przemysław Walich, z powodzeniem wcielający się w rolę konferansjera, a także Michał Dąbrowski, wirtuoz akordeonu, doktorant szczecińskiej Akademii Sztuki, wzbogacający swoją grą siłę artystycznego wyrazu. Stworzyli oni prawdziwie wykwintną poetycką ucztę, według scenariusza i pod opieką artystyczną Krystyny Maksymowicz.

Dziesiąta edycja Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Bursewicza już przeszła do historii. Jeśli jubileuszowa edycja może skłaniać do podsumowań, to na pewno

jest on na szczecińskiej scenie literackiej ważnym Wydarzeniem, spełniającym zamierzone funkcje. Daje szansę na zaistnienie nieznanym szerszemu kręgowi poetkom i poetom. Uczestnicy mogą stanąć w szranki i zmierzyć się z oceną własnej twórczości. Mogą wreszcie poznać się osobiście uczestnicząc w Spotkaniach wieńczących Szczecińską Wiosnę Poezji, honorujących jednocześnie laureatów konkursu.

Dlatego inicjatywa ta wspomagana jest zarówno przez instytucje, jak i osoby prywatne. W tym roku, oprócz wsparcia ze strony Urzędu Miasta Szczecin oraz wspomnianej Pani Dyrektora Willi Lentza, Jadwigi Kimber, do darczyńców na rzecz konkursu dołączyli: Zofia Wojtyśiak, Prezes Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury, sponsorka obrazu dla zdobywczyń trzeciego miejsca i Ryszard Podporski, autor grafik przeznaczonych dla trojga laureatów wyróżnionych.

Poziom nadsyłanych wierszy od lat oceniany jest jako wysoki, nie tylko przez jury, ale i przez osoby biorące udział w uroczystych galach pokonkursowych, jako prezydent czy odbiorcy. Laureaci bardzo często doceniani są również w innych poetyckich konkursach. Ich wiersze stają się głosem, czasem wręcz krzykiem o poprawę kondycji świata, w którym przyszło nam żyć; pretendują do siły sprawczej, zdolnej poruszyć ludzkie sumienia.

Takie przesłanie niosły ze sobą również utwory, które wybrzmiały w Willi Lentza 17. czerwca 2025 roku podczas finału X Międzynarodowego Konkursu „O Złotą Metaforę”. Po wysłuchaniu wzruszającego koncertu, goście dzielili się odczuciami przy poczęstunku hojnych Gospodarzy Willi Lentza. Wrażenia te można zamknąć w słowach tytułowych „...jak dobrze, że jest wiersz”.

Małgorzata Hrycaj

7 EDYCJA

MIĘDZYNARODOWY KONKURS POETYCKI

MOJE ROZTOCZANSKIE DRZEWO

czekamy na Twoje zdjęcia w terminie

15 lipca – 31 października

Przejdź na Roztocze! Zachwyc się roztoczańskim drzewem, zrób wyjątkową fotografię i zdobądź cenne nagrody!

Do wygrania: medale Fotoklubu RP, wyjątkowa statuetka weekendowy polnyt na Roztoczu i wiele innych nagród!

Regulamin i karta zgłoszenia dostępne na stronie

www.gok.krynice.pl

Andrzej Walter

Co też nam się przytrafiło?

Przytrafił nam się **Grzegorz Trochimczuk** i Jego klucz do literatury. Przy czym zapewniam Was, że jest on najwyższych lotów, gdyż zarówno proza w książce „Wszystko, co się nam przytrafia”, jak i poezja w tomie „Rozstrzelany piasek” to pisarstwo przedniej jakościowej próby, którego źródłem i genezą są w obydwu przypadkach: pochłanianie ogromnej ilości mądrych książek czy seanse kinowe dla wymagających. Te punkty odniesienia, że się tak wyrażę, ukształtowały dojrzałego twórcę: docieklivego, wartościowego i płodnego, który ma już w dorobku trzy książki publicystyczne oraz około czterestu tomów poezji – wliczając w to jej wybory. Ostatnia proza to z werwą i życiem opublikowane dzienniki z okresu lat 2022-2024, o których jeszcze napiszę kilka słów, a wiersze to bardzo dobry tom poezji o tematyce antywojennej. Choć stwierdzić, że „Rozstrzelany piasek” to tom antywojenny, to tak jakby nic nie powiedzieć, bowiem wszystkie wiersze to niejako wędrówka przez ludzką historię wojen, przez zarzewia zła, jak również przez istotę tej już osławionej banalności owego zła, przez dogłębną analizę metodologii konfliktów ludzkich, stanowiących niejako pewną pełnię istotę ludzkiej natury, dążącej często do agresji, rozwiązań siłowych nacechowanych lękami, frustracjami czy urazami psychicznymi. Autor wnika niejako w człowieczą słabość, w jego mentalność zabarwioną słabością, chęcią zdominowania innych, w pokłady nieufności, wyobcowania czy całą tę dramaturgię różnic społecznych, owocujących już u zarania naszego bytu pewnym genem wojowniczości dziecięcej, kształtującej później całą tę łamiącą konfliktu kończącego się użyciem wytwarzanej w nadmiarze broni, a finalnie kończącej się banalną... śmiercią. A przecież wiemy, że ta śmierć, poniekąd zawsze determinanta istnienia, to nasz los, ale z punktu widzenia humanisty i człowieka kochającego ludzi, świat i sztukę po prostu każda śmierć, ba, każda przemoc jest zwyczajną tragedią, której dramaturgię oraz absurdalność powinien właśnie dojmująco przedstawić poeta w krótkiej formie wiersza albo prozaiak w sile opisu, który wpłynie na czytelnika.

Grzegorz Trochimczuk muszę przyznać robi to doskonale. Swoje wiersze nasąca z umiarem całym bogactwem literackich odniesień, dokłada do tego stonowane emocje, oszczędnie operując słowem i szanując słowo prowadzą nas przez pytania i wątpliwości, przeprowadza przez krainy dylematów, sporów nawet o ocenę batalii czy bitew, ukrywa w kontekście treści samo nasuwające się pytania, które nie padają dosłownie, ale niejako wynikają z tej przejmującej lektury. W tomie „Rozstrzelany piasek” otrzymujemy niemal historię ludzkich wojen zmniejszonych do lapidarium świetnej poezji, która odsłania nam całe to zło, które się dokonało, na które przecież nie mieliśmy żadnego wpływu, ale naszą powinnością

niemal jest refleksja, namysł, wyciągnięcie właściwych wniosków z tej niepotrzebności wielokrotnionej śmierci uzasadnianej zawsze całą wyższą koniecznością, co nie zmienia faktu, że każda śmierć dla wrażliwca jest końcem świata i oczywistą tej emocjonalną tragedią. Umiera bowiem nie żołnierz, ale czyjś ojciec, czyjś syn, konkretny Ktoś, kto kochał, był kochany, bez którego Kogoś ten świat... się kończy.

Czytałem w swoim życiu, bądź obejrzałem w kinie wiele antywojennych protest songów, naszpikowany jestem do dziś mnogością tej niezgody na przemoc i genezę wojen, w ogóle te dwa pokolenia, zarówno Autora jak i moje, ukształtowane na całej tej przestrzeni kulturowej antywojenności, a pomimo tego głos w tej sprawie Grzegorza Trochimczuka zrobił na mnie ogromne wrażenie. Wiersze napisane są z jakąś gigantyczną siłą przyciągania treściowego i formalnego, składają do wielokrotnego rozpoznawania metaforyki, aż wreszcie do poszukiwań kontekstów treściowych, źródeł literackich czy innych kulturowych, gdzie też często nam Autor to ułatwia czy naprowadza nań, a to mottem, a to jakimś przypisem. W dzisiejszej dobie sztucznej inteligencji na wyciągnięcie ręki w wyszukiwarce smartfona, gdzie można sobie wszystko sprawdzić, taka lektura jest dalece ułatwiona, cały tekst przestaje być słowną łamigłówką, a poczyną tworzyć zarzewie relacji autora z czytelnikiem, relacji opartej na emocjach, wątpliwościach, pytaniach. Tak oferuje się czytelnikowi intelektualną poezję najwyższych lotów, poezję hipnotyzującą czytelnika i zmuszającą go zarówno do kilkukrotnej lektury, jak i do myślenia kreatywnego, aż po empatię i stany emocjonalnego wzburzenia. Niełatwo o to we współczesnej literaturze. Przy czym sam Grzegorz Trochimczuk jako Autor jest przykładem twórcy rzadko spotykanego – człowiek z przeszczepionym niemal piętnastcie lat temu sercem (ponoć sercem kobiety), z wykształcenia matematyk (im blisko ku filozofom, fakt), ale i też pragmatyczny fachowiec od kultury żywienia, specjalista od konsumpcji i jej społecznych efektów, w swoim pełnym i aktywnym życiu zajmował się tak wieloma zadaniami, które zahartowały go mentalnie, że warto przeczytać sobie arcyciekawy artykuł z roku 2015 opublikowany w „Gazecie Pomorskiej”, w którym możemy przeczytać:

Teraz ma czas na pisanie. Od kilku lat publikuje, należy do Związku Literatów Polskich. Zapewnia, że poetycka wrażliwość nie wzięta się z kobiecego serca. A jeśli chodzi o twórczość w późnym wieku, to wyjaśnia, że młodym brakuje życiowych doświadczeń. Bo najpierw trzeba coś przeżyć, by mieć później z czego korzystać w twórczości.

– Coś już wiem i mogę to przekazać – mówi. – Cały czas staram się też doskonalić warsztat, żebym potrafił bardziej precyzyjnie wyrazić emocje, niepokojące myśli.

Dodaje, że jeszcze dużo nowych wyzwani przed nim.

– Wiem, że teraz powinienem cieszyć się każdą chwilą. Nie można niczego zmarnować. Nie odkładać niczego na później i głosić pochwałę życia. Gdzie mogę, tak właśnie robię! Po przeszczepie nie jestem bardziej kobietą niż byłem przedtem, bo przecież także faceci coś mają z kobiet i odwrotnie. Potrafię spokojnie, żeby nie przejmować się wszystkim za bardzo, nie denerwować się i nie stresować!

O śmierci pisze sporo. – Im więcej życia, tym więcej śmierci – uśmiecha się. O swojej na razie nie myśli. Czasem zastanawia się, ile lat czeka go do setki. Czy wtedy będzie jeszcze miał siły chociażby na krótki spacer?

Czy został specjalistą od spraw sercowych? – Historia z sercem nie przekłada się na miłosne problemy – śmieje się serdecznie i zastanawia: – To gdzie jest miłosne centrum, jeśli nie w sercu? W głowie?! W dotyku? Może w oczach? Może to nie serce jest źródłem miłości? Ale jeśli nawet nim nie kochamy, to każdy z nas powinien o własne serce dbać.

Napisał, że musi bić serce, żeby żyć. Po prostu. – W życiu brniemy w straszliwe drobiazgi, które okazują się nieistotne – opowiada. – Większość z nich należałoby zlekceważyć. Zostawić kilka ważnych dla siebie, rodziny. Czy kiedy miałem zawal zawałita się instytucja, w której pracowałem? Nie! Nic nie spłonęło z wrażenia. I wtedy zastanawiasz się: co jest w życiu ważne, istotne? A ilu młodych pędzi i nie ma czasu dla rodziny, a dzieci przekupuje drogimi zabawkami. Po co? Przyjdzie choroba i co? Może zamiast wydawać pieniądze na obsługę NFZ-tu, należałoby wydać pieniądze na taką kampanię? Pobudzić ludzi do myślenia?

Właśnie to warto podkreślić. W życiu brniemy w drobiazgi. Drobiazgi determinują naszą codzienność, a to sprawia, że widzenie całości jest wtedy zamglone, niepełne i skazane na fałszywe spojrzenie. Grzegorz Trochimczuk ma w tym kontekście jeden cel – pobudzić do myślenia. To jest główna linia mentalna zarówno poezji Autora, ale i prozy. Ich przestanie. Bogactwo treści, dbałość o formę, magnezizm metaforyki. Słowem świetna lektura.

*czytam historię
napisaną do czytania sto tysięcy razy
o tobie o was o nich – i o sobie samym –*

*niezastrzelonym
nierozzerwanym nierozrzuconym niesplamionym
niemym
wykrwawionym wojownikowi z jasną dziurą
w głowie*

Wiersze Trochimczuka w „Rozstrzelanym piasku” prowadzą nas przez pola bitew, przez pola śmierci, przez „bramy Mordoru”... tam, gdzie „wydarzyło się piekło”, tam gdzie ludzie – wojownicy „wsiaśli i krzyczą”, podróż nasza wiedzie przez wybrane: wojny Napoleona, stopy spalonych książek w Berlinie, przez Górę Oliwną, czy też aż po kartę praw człowieka.

To wstrząsająca wyprawa, ale i otrzeźwiająca. Gen wojny wpisany jest nawet w nasz hymn, gdzie śpiewamy „jak zwyciężać mamy”,

(Dokończenie na stronie 4)

Co też nam się przytrafiło?

a później oglądamy Borodino po bitwie, jak dopalają się ognie, jak dogasają dusze i życie zamiera powoli, w bólu i cierpieniu. Wszystko to nawraca i powtarza się, wydarza się wciąż na nowo i powtórnie, człowiek bowiem ową wojowniczość, emanację konfliktem ma wpisane w krew od małego, a relacje społeczne go w tym upewniają, że walka o przetrwanie jest jak najbardziej słuszną drogą i drogą pożądaną, pochwalaną, a może i jedyną. W ten sposób kumulacja tematyczna tej poezji ukazuje esencję bytu ku wojnie i chyba perfekcyjnie odsłania nam jej kulisy. To jednak nie finał. To dopiero preludium analizy, analizy, która w poezji skończyć się nie może, gdyż nie byłaby prawdziwą tą poezją, gdyż ona – jako poezja właśnie – ma nas zostawić z pytaniami, z całą prawdą niedoręczności śmierci wróbla, każdej śmierci, którą dane nam będzie doświadczyć, albo i tylko zobaczyć... i przeżyć. Tak – przeżyć. Nie każdy chce i może to przeżyć. Trochimczuk jedynie zaprasza, pisząc metaforycznie, obrazowo, czasem jedynie dając do zrozumienia. Tak się dziś pisze poezję. Emocjami. Sobą. Jeśli ktoś tego nie potrafi to nie pisze poezji, a jedynie stawia znaki graficzne, które o niczym nie mówią. Są tylko same dla siebie, a do nich dorbabia się teorię.

Grzegorz Trochimczuk w „Rozstrzelanym piasku” pyta o kondycję ludzką, o to czy w ten sposób nie czeka się jedynie... na kolejną wojnę, nie dąży się do niej dążąc do pozornego pokoju w atmosferze kłótni i konfliktu. Każdy wiersz jest ważny, każdy wiersz ma swoje ciśnienie, każdy pyta, nie pozostawia obojętnym, nie mija nas, a wciska się gdzieś głęboko, w trzewia naszego lęku. To wielka sprawa tak utrzymać dramaturgię na całej długości tomu, nie znudzić, nie znużyć, nie popaść w mantrę pustosłowia, a dotykać co rusz nowych spraw. Skąd ta ciągłość? Z siły literatury, z czytelniczych inspiracji. Dotykamy wielkich książek: Parnella, Talkiena, Malruax, Mo Yan, Bratnego, Fallaci, LeClezio czy Salmana Rushdiego, że sięgnę po kilka nazwisk nie tylko Noblistów. Lektury Trochimczuka pulsują tu nowymi treściami, rozważaniami, kontekstami. Dla ludzi odczytanych ten tom to kopalnia snucia myśli, swego rodzaju raj intelektualny prowadzący w nowe rejony humanizmu i ludzkich wątpliwości. Jak widzicie nie jest to lektura dla każdego, ale nie miała taką być od zarania. Świetny tom. Jeden z ważniejszych tomów poezji nowego wieku.

*Obciąża mnie wojna
(wojny) zbrodnie
odległe a ja czuję śmierć*

Krew w białym piasku

*Rozstrzelany
pyłem zasypuje mnie w okopie
słyszę trawę*

Czy poeta jest sumieniem świata? Czy w nim kumulują się te wszystkie wojny, te wszystkie... śmierci, cała przemoc i zło? Poniekąd tak. Poniekąd kumulują się jak zapewne w

każdym co wrażliwszym człowiekiem, a jednym zastrzeżeniem, iż z duszą artysty, z umysłem twórcy nie da się przejść nad tym do porządku dziennego. Taki człowiek musi usiąść i pisać, ale aby pisać... trzeba jeszcze potrafić to (a nawet wielką literą ujmując: To...) wyrazić i napisać. Napisać dobrze i zajmując, napisać tak, aby czytelnik przeżył, aby pojął i poczuł, aby w to wszedł i chciał czytać dalej. Tak mniej więcej konstruuje się nie tylko poezję, ale i dobrą prozę, w której (aby była dobra) też musi zaistnieć element poezji, ale i warsztatu rzemieślniczego wypracowywanego przez pisarza latami. Kawał dobrej roboty, dni i tygodnie żmudnej pracy i wycucie poezji tworzą dobrego pisarza. Takiego, którego się czyta, a nie takiego, którym straszy się dzieci w szkołach. Niestety nie regulują tego ani żadne rankingi, ani pozał się boże nagrody (ostatnio już nawet z Noblem w tle) ani nawet żadne naukowe gremia. To reguluje sam (jakbyśmy dziś powiedzieli) rynek czytelniczy i społeczność czytających. Jedynie co można tu dodać, że nie każdy czytający ma dziś możliwość dotrzeć do tego typu Autora, którym tu, dla przykładu jest Grzegorz Trochimczuk. Utrudnia mu to bowiem celowo wytworzony w kapitalizmie dla ubogich jazgot tych „pięknych i bogatych”, za którymi stoją wielkie wydawnictwa wypasione blichtrem i świecidełkami. Tak się to dziś odbywa. Dobry pisarz tworzy w cieniu, a lansuje się kilku wygodnych durniów, łatwych w obsłudze. Zostawmy to. Wróćmy do naszego Autora. Na co dzień „rozstrzeliwanego” członka Związku Literatów Polskich, ba, Prezesa Warszawskiego Oddziału tej najstarszej i najbardziej zasłużonej dla tradycji w Polsce organizacji literackiej.

Ponieważ Grzegorz Trochimczuk wydał książkę opartą na refleksjach i wspomnieniach najświeższych, na dziennikach jakby sprzed wczoraj i jakże pięknie je przy okazji zatytułował: „Wszystko, co się nam przytrafia” – to warto nawiązywać do „tematów okolicznych”, bo to jest przecież też... wszystko, co nam się przytrafia. Książka Trochimczuka to znakomite świadectwo czasu, odzwierciedlenie społeczne i historyczne, które dotyka tego niedawno minionego czasu od rozpoczęcia wojny przez Władimira Putina przeciwko Ukrainie, aż po sytuację, w której Donald Trump „dostał w ucho”. Dwa lata. Tylko i aż. Przeczytajcie sami ile nam się w tym czasie przytrafiło, a ile się przytrafiło Autorowi. Wszystkim nam wiele się przytrafiło, a wynika ze znaków na niebie i ziemi, że przytrafi nam się... jeszcze więcej...

To dobrze. Będzie o czym pisać.

Grzegorzowi Trochimczukowi przyświeca w tej jego twórczości wielce szlachetna myśl; (przytoczmy ją w pewnym zarysie).

**Pisać, to uratować coś z czasu,
w którym się już nigdy nie będzie**

Czy ma to sens? Nie wiem. Zweryfikuje to zapewne przyszłość, następne pokolenia, jeżeli będą czytać cokolwiek. Choć my, pisarze, ratujemy to zapewne nie dla tych kolejnych pokoleń, ale dla samych siebie. Ten mechanizm nadaje sens i uzasadnienie odwagi stwierdzenia jak powyższe...

Czy mamy teraz ten czas, z którego warto jeszcze coś ratować? Czy poezja coś ocala? Czy w ogóle literatura coś i kogoś ocala? Czy stały się tylko produktem i rozrywką, jak chcieliby bardzo demiurzy współczesności, używając książek jako jednego z narzędzi łopatologii stosowanej. I to dla garstki czytających, choć wiemy, że garstka to intelektualnie rozwinięta, na tle reszty... Narodu. No cóż. Moje wątpliwości nie wzięły się z powietrza, nie wysłałem ich z palca, wzniciąją je w zasadzie stale różne gremia, nawet te kandydujące w najbliższych wyborach prezydenckich. Będziemy mieć wkrótce Prezydenta, na jakiego zaślubiłyśmy jako społeczeństwo i naród. „Się nam przytrafi”... jak wszystko co ostatnio nam się przytrafia.

Zapewniam, że warto sięgnąć zamiast po „programy wyborcze” kandydatów po książkę Grzegorza Trochimczuka. Przytrafi nam się wiele refleksji, godnie i dobrze spędzimy czas przy tej lekturze, wciągnie nas i zadowoli, nie rzadko zadziwi, zafascynuje i zastanowi. Książka napisana jest bardzo dobrze, językiem łatwo przyswajalnym i narracyjnie nęcącym. Czyta się znakomicie. Czas mija niepostrzeżenie.

Dobrze ujął to Wydawca Trochimczuka pisząc w notce:

Książka jest zapisem przeżyć autora osadzonych w realiach życia współczesnego w formie dziennika. To zbiór esejów, stanowiących wnikliwą introspekcję autora we wszelkie przejawy życia intelektualnego, psychicznego, cielesnego, społecznego itp. Podstawową przesłanką rozważań jest badanie własnej wrażliwości, stosunku do świata realnego i marzeń, poszukiwanie sensu egzystencjalnego człowieka i świata. Tkaną rozważań stanowią fakty z życia osobistego i rodzinnego autora, umieszczone w kontekście zdarzeń przeszłych i bieżących. Autor rozważa stosunek wobec natury, próbuje zrozumieć istotę człowieczeństwa a równocześnie odnosi się do przyjętych norm i czynów, gry politycznej, skutków aktywności militarnej. W szczególności wiele miejsca poświęca dzisiejszym konfliktom wojennym (Ukraina, Bliski Wschód). Książka, ze względu na liczne odniesienia do świata zewnętrznego, stanowi świadectwo współczesności, obrazy wyrażają subiektywny ogląd rzeczywistości i stosunek wobec świata. Znaczącym wątkiem rozważań jest istota procesów twórczych zachodzących u pisarza, a w szczególności charakterystyka jego natury poetyckiej. Nie zabraknie odniesień do innych twórców i ich dzieł. Czytelnik będzie uczestniczył w procesach myślowych autora, doznawał wrażeń emocjonalnych, a być może nawet dotrze do głębiej skrytych pokładów podświadomości.

Nic dodać nic ująć. Może jedynie to, że Trochimczuk nie zajmuje jakiegos stanowiska w plemiennych sporach, nie bawi się w podglądanie poglądów, czy propagandowe wstawki będące dziś natręctwem wielu autorów. Nie stara się czytelnika do niczego przekonać. Dzięki temu pozwala mu myśleć samodzielnie. Dzieli się wolnością, a pisanie to zmierza właśnie ku wolności – do wolności pytań, wątpliwości i życia. Książka jest bowiem prawdziwym, wartym chwili uwagi, życiem praktycznie każdego z nas. Namawiam Was zatem szczerze i gorąco do lektury poezji i prozy Grzegorza Trochimczuka. To Autor nietuzinkowy. Nie sprawi Wam zawodu. Niech się Wam... zatem przytrafi, jak wszystko.

Andrzej Walter

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą? (3)



Fot. Andrzej Dębowski

Przyszłość w Ameryce rozpocznie od budowy misternej sieci kultury polskiej, jak pająk. Zastawiać ją będzie na co zdolniejszych studentów, ludzi przydatnych do jego planów wybudowania rakiety kosmicznej – poezji, która wyniesie polską literaturę i jego bardzo wysoko w przestworza. Będzie pająkiem, gospodarzem sieci, który nie będzie „pożerał swoich ofiar”, ale wręcz przeciwnie, wynagradzał tych, którzy nie zawiodą jego zaufania. Każdy, kogo wybrał do współpracy i nie rozczarował go, skorzystał na tym, każdy. Plan będzie genialny, bo każdy genialny plan jest prosty. Poza pracowitością ponad ludzkie siły trzeba mieć jeszcze szczęście, wizję i pojęcie tego, co się robi. On to wszystko miał.



Czesław Miłosz, zbiory Adama Lizakowskiego

Początki lat 60. XX wieku, tło ogólne. Zarys początki lat 60. XX wieku

Miesiąc po przyjeździe kosmity do Ameryki, 8 listopada, John Kennedy w wyborach prezydenckich pokonał „o włos” Nixona i w styczniu roku następnego został trzydziestym piątym prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Rozpoczyna się jeden z najciekawszych okresów drugiej połowy XX

wieku w kulturze, nauce, polityce, w dziejach historii Ameryki i świata. Amerykanie są pod wrażeniem wystrzelenia „Sputnika” w 1957 roku, ich „duma narodowa” cierpi, bo byli przekonani o swojej dominacji we wszystkim, co robili, łącznie z nauką w dziedzinach technicznych. Nowo wybrany prezydent obiecuje, że do końca dekady Amerykanin stanie na księżycu. Niestety, prezydent ginie 22 listopada 1963 roku, zastrzelony w Teksasie przez nieznanego sprawcę. Zanim został zamordowany, w telewizyjnym wystąpieniu rok wcześniej, 22 października 1962 roku, ogłasza, że amerykańskie samoloty szpiegowskie odkryły sowieckie bazy rakietowe na Kuby. Zarządza blokadę wyspy.

W dalekiej Anglii powstaje zespół The Beatles (mający ogromny wpływ na kulturę amerykańską), składający się z chłopców: Ringo, Paula i Georga, pochodzących z bardzo ubogich rodzin robotniczych Liverpoolu, korzystających z pomocy państwa. Czwartym członkiem grupy był Johnny, który mieszkał ze swoją ciocią Mimi, siostrą matki. Matka oddała Johna siostrze, bo sama nie była w stanie go wychować (trudna sytuacja życiowa). John był trudnym chłopcem i sprawiał kłopoty nie tylko wychowawcom, ale i ciotce. Gdy przyjrzymy się jednak bliżej wszystkim idiom hipisów, to okaże się, że John nie był wyjątkiem, ani to, że dla ruchu hippisów i ludzi „wyzwolonych”, czyli „free” albo „wolnych”, pochodzenie społeczne nie jest aż tak ważne. Nie ważne kto śpiewa czy mówi, przemawia, organizuje koncert, zaprasza do teatru lub na wiec. Z czasem jednak okaże się, że bardziej słuchano synów i córek z robotniczej klasy społecznej, którzy byli zbuntowani przeciwko wyzyskowi, materializmowi, wartościom swoich rodziców. A potem, gdy ich muzyka i płyty zaczęły się dobrze sprzedawać, sami w swoich multimilionowych domach zatrudniali sprzątaczkę, kucharkę, lokaj, ogrodników, kierowców, którzy prowadzili ich limuzyny za setki tysięcy dolarów. Skok z najuboższych do najbogatszych dokonał się w przeciągu pięciu lat. Czegoś takiego świat nie widział ani wcześniej, ani potem. Przykładem kariery niech będzie wspomniany zespół The Beatles, walczący o równość społeczną, równouprawnienie dla wszystkich, łącznie z kobietami. Kariera tych czterech ubogich chłopaków z Liverpoolu potoczy się tak w przeciągu niecałej dekady, że staną się najbogatszymi ludźmi swojej hippisowskiej generacji. Zanim to się stało, warto przypomnieć, że ojciec Johna, Alfred „Freddie” Lennon, w biografii syna zostaje pokazany jako niefrasobliwy włóczęga, któremu nie należy współczuć, który z czasem będzie żałował swojego postępowania, ale nigdy nie otrzyma od syna przebaczenia. Ciotka Mimi stała pół klasy wyżej na drabinie społecznej niż rodziny kolegów siostrzeńca, była poza progiem ubóstwa, miała swoje mieszkanie, dom. Jednak to nie ona kupiła gitarę Johnowi, ale matka, ciotka była realistką, nie popierała jego nauki gry i grania na gitarze, mówiąc: „the guitars all very well, John, but you’ll never make a living out of it”.

Miała też zastrzeżenia co do jego akcentu Scouse (Liverpool) biednych robotników,

mówiąc: chłopcze, z takim akcentem daleko nie zajdziesz, na co chłopiec odpowiadał przewrotnie: ciociu, właśnie z takim akcentem w robotniczym mieście dam radę. Chłopaki z czasem zapuszczają włosy, zakładają białe koszule i garnitury, w których podbijają nie tylko Wielką Brytanię, Amerykę, ale cały świat. Mieli dużo szczęścia w życiu, trafili na porządnym menadżerów, założyli w odpowiednim czasie grupę i udało im się, choć tysiącom podobnych grup się nie powiodło. W krótkim czasie pochodzący z robotniczych nizin społecznych chłopcy, otrzymując tytuły szlacheckie, staną się idolami dla milionów młodych ludzi wpatrzonych w nich jak w bogów. Oni staną się iskrami rewolty, która zapali świat, młodzi chłopcy, którzy kilka lat wcześniej wychodzili bez drugiego śniadania do szkoły, bo rodziców nie było na to stać, będą słuchani i naśladowani przez miliony młodych wielbicieli. Chłopcy z robotniczego Liverpoolu zaangażują się w ruch hippisowski, w ruch społeczny, w walkę o równouprawnienia dla wszystkich, ale klasa robotnicza, z której wyrosli, społecznie rasowa, w którym się wychowali, nie będą ich wiele obchodziły, będą starali się jak najszybciej zapomnieć o swoich korzeniach. W roku 1964 odmówią występu na stadionie w Gator Bowl w Jacksonville na Florydzie, na którym jak w całej Ameryce była segregacja rasowa. John Lennon był tak wściekły, kiedy dowiedział się o tym, że wydał oświadczenie prasowe mówiąc, że grupa nie zagra, dopóki czarni fani nie będą mogli usiąść tam, gdzie im się podoba. Będą zaangażowani w ruch społeczny nawet po rozwiązaniu grupy.

John Lennon, bóstwo subkultury hippisów, w pewnym momencie sławy powie, że zespół The Beatles jest popularniejszy od Jezusa Chrystusa, co wywoła falę protestów na całym świecie, w szczególności na południu Stanów Zjednoczonych. Porzucił żonę i zostawił syna na jej wychowaniu, po rozwodzie zawarł małżeństwo z Yoko Ono, która urodziła mu drugiego syna, którego będzie bardzo kochał, mówiąc: kocham go, został zaplanowany. Cieszył się życiem jak nigdy wcześniej. Zginie zastrzelony pięcioma kulami 8 grudnia 1980 roku w Nowym Jorku przez (pochodzącego z klasy robotniczej) ochroniarza jednego z hoteli na Hawajach. Którego w ostatnim dniu pracy w Honolulu, zanim przybył do Nowego Jorku, by zabić Lennona, podpisał się w pracy na liście obecności jako „John Lennon”. Chciał być jak jego ofiara sławny i bogaty.

Era lat sześćdziesiątych w historii Ameryki to czas burzliwych zmian na wielu poziomach ówczesnego społeczeństwa, to także podważanie wielu podstawowych hierarchii, które funkcjonowały wcześniej. To nie tylko walka o nieuczestniczenie w wojnie w Wietnamie, ale walka o prawa dla homoseksualistów, kobiet, o wyrażanie własnych poglądów pokolenia młodych ludzi z wyżu demograficznego, które osiągnęło swoją młodość właśnie w latach sześćdziesiątych.

cdn.



Elżbieta Musiał

Z poematu TOTUM

Kamień

*pudowy kamień, pudowy kamień
ja na nim stanę, on na mnie stanie
on na mnie stanie, spod niego wstanę*

(E. Stachura, *Missa Pagana*, cz. Jak)

Niebanalna materia, nawet nie żywioł, a
przynależny
ziemi i wieczności. Leży albo lewituje.
I bynajmniej
nie jak kamień w wodę. Wszędzie mu dobrze,
po wsze i obecnie.

Kamień – terror milczenia.
Czyny nieosądzone i ciężar w głąb rzucony.
Kamień – istota kamienia.
Jak świat światem twarda metafora.
Nie podnoś pamięci kamienia.
Ciężar ciemny zajrzy w oczy, oby nie chyżo.

Urodził się do milczenia.
Gdy czuwa na rozstaju – na myśl
nie przychodzi nawet pytać o wiek. Kamień.
Na pierwszy rzut oka – bezdroża szczególnie
zamknięte.
Czego pilnuje? Jakiej podróży? Pukać do
wnętrza
tylko wiersz może. Rzucam wiersz w wodę,
a kamieniem wraca. Do jakiego stopnia żywy,
do jakiego umiera w objęciach słowa.
Paradoks Schrödingera z martwiejącym
pejzażem,
nadto wyniosłym i surowym, sterylnym w
wyrazie
i prastarym, za to z obietnicą wieczystej
drogi.
Kamień rzucam w wodę, w samo dno duszy –
wyzwała kręgi i powraca wierszem:
*Kamień to taka strawa codzienna,
która w końcu połyka.*¹

Ile ciebie w gdziekolwiek, a ile we mnie?
Pudowy kamieniu i smugo po nim,
kamieniu obrazy i smugo po nim,
kamieniu oderwany od ręki i smugo po nim,
ucieleśniony kamieniu i smugo po nim.
Kamieniu, kamieniu, nasz bardzo wielki
kamieniu.
Żarliwy kamieniu, biały kamyku, kamyku
szczęścia,
wschodzący kamieniu. Kamieniu węgielny
– jakie wasze domy?
Skało potknięcia. Na wieki wieków opoko
na tobie kościoły, lecz pył z nich tylko ostaje
się żywy.
Ile ciebie w gdziekolwiek, a ile we mnie,
kamieniu milowy.

Temet Nosce¹

Ciało mojego ciała i światło mojej myśli.

(K.K. Baczyński, *Śpiew do snu*)

Oto JA. Myśl mnie złowiła – więc jestem.
Zwabiło ją pragnienie gorącego uczynku.
Łopotem serca przesuwam granice,
intuicja wie, że – i dzieje się świat.

Płyniemy. A myśl wczesna jako ten
zwiastun możliwego zaledwie.
A JA jako ten obserwator zapatrzonego
w zapal tworzenia. Ach, gdyby nie JA –
myśl byłaby co najwyżej chmurą umykającą
albo jaskółką pierwszą, która wiosny nie
czyni.

Ale JA jestem. Zdolna wchłonąć liryzm chwili,
nić przewodnią przepuścić przez światło
własne.
Uświadomić co nieuświadomione.

Płynąc – ucieleśniam. Jestem uczynkiem
najdrobniejszym z drobnych i słowem,
i zobaczeniem. Jestem wczoraj, dziś i jutro.
A nawet jestem, bo jestem.
Znoszone ciało a jednak.
Krokiem w przód niezwyklejszym.
Krokiem, który można pominąć.
Mimo to zmierzam. Łada podmuch,
łada moment do istnienia pretekstem.
We mnie międzyrzeczka i dorzeczka płyną
astralne nieledwie. Plus minus
nieskończoność.
W wiecznym ruchu wieczna obecność.
Jestem. Zesłana przez siebie
na ziemię pod przygodną postacią,
lecz ze sprzeciwem grawitacji ciało subtelne.
Asteroida niemalże, anima² w afekcie
z pokazaniem ciała.

Dziękuję ci łupino doczesna,
dziękuję szczeru lubieżny.
Z tobą idę do siebie, na wskroś siebie.
Istotą zahaczam wymiary odmiennie.
Tak obiegam siebie. Niknę w oczach,
ulatniam jak kamfora, przepadam
bez wieści, lecz nie zanikam.
Przepraszam, że wątpiałam w ciebie.

Dziękuję ci świecące próchno – *Non omnis
moriar*³.
Dziękuję ci wylewna esencjo wielkoduszna
i bezgraniczna, której oko nie wypatrzy.
Dziękuję siebie-stworzenie.

Ale póki jeszcze obrosła w biologię,
na tym ziemskim jedynym do wymówienia,
dopóki wdech i wydech, dopóki woda,
póki kamień i powietrze –

¹ Poznaj samego siebie, grecki aforyzm.

² Dusza.

³ Nie wszystek umrę.

Barbara Gajewska

Z cyklu: *taka jedna*

Niedosyt

kolejne spojrzenie w mglistą przestrzeń
a oknem

szukanie źródła na powierzchni
szukanie światła w głębokości

takie życie
myśli
taka jedna

na mapie wielkiego miasta
próbuję znaleźć swoje ślady
którymi wciąż rzuca przeznaczenie
lub ślepy los

rozbija je o burtę starej wiary
i nowej niewiary

gdzieś poza ramą słowa biali kochankowie
i dziewczyny biegnące ku nim wonnymi
ścieżkami

gdzieś
nie trzeba szukać

taka jedna
jest tutaj
skazana na szukanie

Święta

nie odpędza złego znakiem krzyża
nie przywołuje Bożej łaski jak wiernego psa
nie zsypuje przed obrazy różańcowych
zaklęć

nie zgarnia z ołtarzy dumnego ukojenia
nie zakrywa hosanną dylematów

zagrzebana po uszy w dniu wielostrunnym
otoczona sforą niezadanych pytań
widzi jak gną się wytykane palcami racje
wie
że palce nie są po to by wytykać
umie trzymać swoje palce w ryzach
by nie robiły dziur w cudzym niebie
czuje jak uwierają konieczności
słyszysz jak umierają zadziwienia

zbiera trele i zgrzyty
kwilenia i grzmoty
na przedwieczorne pragnienia
na przedwieczorny niepokój

nocą
zatrzaskuje w sobie
nagość dnia

taka jedna
brzoza z popękaną korą wiary
trwa

¹ Elżbieta Musiał, *Mówię pochyloną cambrią*, poemat *Corpus delicti*.

Ona umiera sama

i ona w tej jesieni
i jesień w niej

pełnia

i taka złota jak jesień
a jesień złota jak ona

drogocенność

otulona złotym powietrzem
łapie oddechem piękno

i życie

i tyle smutku w pięknie
i tyle piękna w smutku

i w śmierci

i ten bal pani Agnieszko
kiepski bal
nie było na nim białego tanga
parkiet się chwiał

a teraz parkiet – mocny lód
jesień-wykidało drzwi zamyka
stop-klatka
taka jedna w ostatnim tańcu

więcej światła

Powrót

jeszcze kłębią się w oczach tamte krajobrazy
rylce wieżowców kaleczące błękit
pajęczyny autostrad
ogrody łaszące się do wolnej miłości
wykrochmalone uśmiechy nawet w ulicznych
korkach

wszędobylski luz

jeszcze gnieźdzą się w uszach tamte słowa
okay fine great
jednak uwiera nigdy nieoswojona obcość
i nadciąga ze wschodu
miękki wiatr

jak dobrze
że nie zdradzają nas powroty
myśli taka jedna

jej Itaka podchodzi do gardła
mąci oddech

pocięli ją niedbale chirurdzy w partyjnych
kitlach

taka jedna
będzie zszywać skrawki
poznawaniem

będzie łątać swoim głosem
ojczyźnianą rzecz

Nie tak

taka jedna
nie była jak pierwsza lepsza
za rogiem straconego czasu
śniła o miłości
płomyk oliwnej lampy
którą pożyczyła od panny mądrej
obmywał z mroku jej twarz i stopy
jednak żaden kochanek
nie uchylił dla niej drzwi

może powinna dobijać się seksapilem
albo jak słowik
wabić balsamicznym śpiewem

taka jedna rozbiła oliwną lampę
o pierwszy akord z pieśni Orfeusza
rozbiła sen
o ostatni akord straconego czasu
jej ptak umarł o świcie

taka jedna nie umiała pozbierać
rozbitego snu
ani przywrócić głosu ptaka
taka jedna nie umiała się pozbierać

myślała
że o świcie się tylko śpiewa
że o świcie się nie umiera

Zuzanna Marciniak

szept

pod językiem dogasała cisza
w ciało wrastały obietnice
zagnieżdżone w zmarszczkach kory

w otulinie drzew połykając oddech
dojrzewających pąków
wypuszczaliśmy oszronione
pióra przemilczeń

na horyzoncie tlił się szept
błysk ptaka otwierający sklepienie

kokon

nie zastygaj w drewnianym paciorku
jak figurka z Padwy na półce
zapatrzona w sen pająka
nie czekaj aż mucha znajdzie pajęczynę

szukaj pęknięć w misternym kokonie
fraktali w szczelinie sufitu

wiersz bez tytułu

zatrzymał się na krawędzi dachu jak
najdalej od drabiny
by nie zajmować miejsca innym

potrzebującym
gdy nie podam imienia to tak jakby go nie
było

wiersz bez tytułu staje się bardziej pojemny
pomieści żyjących którym zabrano
tożsamość
i zmarłych pozbawionych grobu

dlatego boję się że do mnie przyjdzie

odruchy

jest poranek dzień pierwszy
nowego tygodnia każdy z nas pcha swój
wózek
najgorzej gdy kółeczka grzęzną w błocie po
wolnym
przerzucaniu z ust do ust ciągów
zdań które nie powinny nigdy wypłynąć

idziemy ulicą
ubrana w podartą zimę kobieta wychodzi
z zaplecza miasta i zbiera rozrzucone
niedopałki
z troską pytamy czy chce drobne

Michał Kaczmarek

Ojciec

zszedłeś z deptaku
w zarośla za ławkami

dzieci w helikopterach na monety
kolejki do lodziarni

miejsce gdzie przekroczyłeś granicę
wracam do pracy
za więcej niż średnią krajową
ostatni dzień
na przegląd techniczny samochodu

i znowu
drzwi do odcinka cieni
między rzędami restauracji

proszę o wstęp
aż otworzy się przede mną
nic
jak coś

trzy litery
skrzydła spółgłosek i korpus samogłoski
staw i księżyc
motyla i ćma
które nigdy się nie spotkają



Andrzej Wołosewicz

Kultura bez literatury?

Tytuł tych dywagacji nasunął mi się, kiedy zestawilem „utyskiwania” Andrzeja Waltera nad naszą współczesną inteligencją z tekstem Piotra Müldner-Nieckowskiego „Książka wciąż jest”. Szukam „trzeciej drogi” (ale nie 2000-którejkolwiek), a pisząc poważnie oba teksty są prawdziwe i w obu coś mi nie pasuje – czy można w ogóle je zestawiać? Może mi nie pasują, bo są niezestawialne, a ja czytam je właśnie razem, jeden po drugim? Nie wiem, zobaczymy jak zacznie drążyć temat. Coś mi tutaj nie pasuje. I jeszcze nie wiem co.

I Co z tą literaturą?

Żeby klarownie wyjaśnić moje podejście do miejsca, roli, do społecznej funkcji literatury, z której to funkcji zanikaniem wiąże poniższe obserwacje i stosunek do opinii Andrzeja Waltera (www.pisarze.pl, „Polskie elity są bezdennie głupie”, 05.08.2025) i Piotra Müldner-Nieckowskiego (www.pisarze.pl, „Książka wciąż jest”, 20.08.2025) potrzebuję cofnąć się nieco w czasie, tak że dwa tysiące lat i zrobić krótki przegląd historyczny relacji: literatura a (cała) kultura, literatura w społeczeństwie. To cofnijmy się do Homera i Hezjoda. Mamy wtedy do czynienia z narodzinami literatury, narodzinami kulturowego przekazu pisanego, mamy do czynienia ze stopniowym przechodzeniem od przekazu oralnego (ustnego) do pisanego. I ta pisana już literatura (wszelaka literatura: piękna i „brzydka”, ta do czytania dla przyjemności i czytana z konieczności, od poezji i prozy po instrukcje, literaturę naukową, filozofię itd.) jest od tego czasu uniwersalnym nośnikiem wszelkiego przekazu słowa ode mnie do ciebie, czy jestem pańszczyźnianym chłopem dostającym pismo z cyrkułu (które musi mu ktoś przeczytać), czy Leibnizem korespondującym ze swoimi krytykami, czy czytelnikiem romansów. Nie ma innego nośnika słowa. Literatura rościła się w uniwersum kultury monopolistycznie, niepodzielnie. I ta jej jedyność, dominacja trwa przez wieki, do momentu pojawienia się innych nośników słowa, kolejno: radio, telefon, telewizja, Internet. W tak zarysowanej strukturze można oczywiście zastanawiać się (tu sytuuję Nieckowskiego) nad zmianami literatury w kontekście przejścia od Gutenberga do e-booka czy nad „wypłukiwaniem” (tu sytuuję Waltera) naszego kulturowego wnętrza przez szybsze (i głępsze) środki przenoszenia słowa od ciebie do mnie. Podam przykład. Już nie przeczytamy nowych listów „nowego” Sobieskiego do jakiejś Marysieńki. Cóż, ja sam przestałem je pisać wiele lat temu, nawet kartka z życzeniami świątecznymi jest wypierana prze-

sms-s, maile, messengery, życzenia telefoniczne itd. A to przecież ta różnorodność form literackiej rozmowy w sprawach codziennych i świątecznych tworzyła literacką biocenozę, w której się wychowujemy! Zapewne i Walter i Müldner-Nieckowski potrafią się w niej odnaleźć nie tracąc ani słuchu literackiego, ani sprawności językowej, nawet gdy ubożeje nam ta literacka biocenoza coraz bardziej, ale „statystyczny” Kowalski już niekoniecznie.

Literatura do jakiej byliśmy przez wieki przyzwyczajeni, literatura będąca głównym, podstawowym (i jedynym!) nośnikiem kulturowego przekazu wartości, przekazu wyrafinowania tejże kultury, literatura jako sposób docierania do „rzesz i mas” traci swój monopol. Dlaczego? Z dwóch powodów. Bo czytanie jest... trudne! Wymaga wysiłku, jest aktywnością, czynnością, która nas wzbogaca, tyle że to wzbogacanie jest okupione pracą myślową, intelektualną, ale i fizyczną, wymaga czasu, cierpliwości, pokory. Tymczasem nowe sposoby (radio, telewizja, maile, smsy, telefon) są szybsze, łatwiejsze, mniej angażujące, dające satysfakcję tu i teraz, natychmiast i bez wysiłku, którego wymaga czytanie literatury. Nasza doba nadal ma tylko 24 godziny, ale teraz jest dzielona – cały czas piszę o językowym, słownym przekazu „od ciebie do mnie” – między większą ilością „pożeraczy” naszego czasu, między różnorodność tegoż przekazu formy. Jeżeli w tej okrojonej dla literatury dobie staram się poświęcać jej jak najwięcej czasu, to wiem, że wspólnie z Müldner-Nieckowskim i Walterem należymy do wymierającego gatunku. Podam trochę zabawny przykład. Oto kiedyś podszedł do mnie dawno niewidziany znajomy i choć obaj mamy kłopoty ze wzrokiem mówi, że z dość daleka zwrócił jego uwagę osobnik czytający na przystanku gazetę! To byłem ja z moim „Przeglądem Sportowym”. Jesteśmy reprezentantami uprawiającymi wygasającą sztukę czytania. Wiem, co mówię, bo pracuję z młodzieżą w wieku licealnym i mam niewesołe, a właściwie tragiczne obserwacje. Kilkunastolatki po szkole podstawowej mają coraz większe problemy z czytaniem! Jeśli chcę kogoś z przeskakujących na lekcji „ukarać”, to wystarczy, że poproszę, aby głośno przeczytał fragment tekstu czy choćby polecenie i zaczyna się jękanie, brak jakiejkolwiek intonacji, zaznaczona interpunkcja przy czytaniu – sytuacje jeszcze kilkanaście lat temu nie do pomyślenia. Jeżeli ktoś ma kłopot z czytaniem, to co powiedzieć o czytaniu ze zrozumieniem? Moi bardziej doświadczeni (w nauczaniu w szkole podstawowej) nauczyciele edukacji wczesnoszkolnej (czyli klas 1-4) biją na alarm: jeżeli człowiek w tym wieku nie nauczy się czytać, to on ma kłopot nie z językiem

polskim jako przedmiotem tylko z językiem polskim jako **narzędziem** zdobywania wiedzy z każdego innego przedmiotu! Dziś nawet dla młodzieży z aspiracjami (a z taką mam do czynienia w codziennej pracy) czytanie to traumatyczny wysiłek. Dlatego łatwiej go nie podejmować. Co innego „czytanie” smsów, oglądanie memów, ekranu z grą komputerową. A moi szlachetni Koledzy piszą o świecie wartości kształtowanym przez książki! Zapomnijcie...

II Ja i mój Dziadek

Kultura, kultura wysoka kształtowana przez wieki przez literaturę (wszelaką, przypominam, piękną, popularną, popularnonaukową itd.) pozbawiona została swoich fundamentów: umiejętności czytania! Kruszą nam się fundamenty, rysy, pęknięcia u podstaw całej piramidy kształcenia i wychowania. I nic z tym nie zrobimy. Jestem tu pesymistą. Kultura oczywiście nie „zawali” się, ja-koś się „przebuduje” i będziemy żyli w zupełnie innej, inaczej ustrukturuowanej kulturowo, a więc i społecznie rzeczywistości, w rzeczywistości z zupełnie innymi dominantami przekazu słowa „ode mnie do ciebie”. Ja już na szczęście tego nie doczekam. Literatura, do której moje pokolenie jest przyzwyczajone, literatura na której się wychowałem, schodzi z piedestału kształtowania świata, nie opisuje już „całego świata”, bo to nie jest „jej” świat. Dlatego upadły tzw. Wielkie Narracje. Nie przeczytacie dziś pięknego detalicznego opisu filizanki w salonie i całej oranżerii najzwyklejszych przedmiotów, nie dostaniecie współczesnego „W poszukiwaniu straconego czasu” napisanego przez współczesnego nam Prousta. Nie wybiercie się w fascynującą literacką podróż w głąb, w dół czy w górę naszego globu ze współczesnym Juliuszem Verne, nie obejrzyście dzisiejszej wsi oczami współczesnego Reymonta (ale obejrzyście w telewizji „Rolnik szuka żony”). Nie poznacie historii w takim literackim zamachu i rozmachu jaki dał nam Sienkiewicz. Dziś efekt „całości” daje mi niemal patchworkowy zestaw stron Internetu uzupełniony wiadomościami radiowymi. Same „wiadomości” częściej dostajemy jako „newsy” – a to nie tylko zwykła zamiana, zastąpienie jednego słowa drugim, ale dłuższego krótszym. A jeszcze nie tak dawno, ech!, niewiele ponad pół wieku temu (nie tak dawno?), kiedy nie umiałem ani pisać, ani czytać znałem na pamięć „Balladę Alpuhara” chociaż nie wiedziałem ani kto zacytował Konrad Wallenrod i kto to jest Mickiewicz, i co ich łączy. Dlaczego umiałem? Bo mój Dziadek śpiewał ją licznej czeredce swoich wnucząt w każde spędzane u niego wakacje. Ten sen-

tymentalny wtręt czynię dla dodatkowego uchwycenia opisywanej tu przeze mnie drogi od literatury oralnej do pisanej i o zaniku tej ostatniej, zaniku jej kulturotwórczej funkcji społecznej. Jeszcze na szczęście nie do końca, jeszcze nie u wszystkich, czytałem jeszcze swojej córce, teraz dojrziałej kobiecie. I na szczęście to jej zostało, chociaż czyta zupełnie inne książki, gustuje w innej literaturze, ale czyta, ale gustuje! Że też przyszedł taki czas, że tym się chwałę – nigdy wtedy, gdy jej czytałem, nie poczytywałem sobie tego za powód do dumy czy chwały, ot, po prostu się czyta dziecku. I nie trzeba było żadnej akcji „cała Polska czyta dzieciom”. Kilkadziesiąt lat po zwycięskiej walce z analfabetyzmem trzeba czynić taką akcję? Może więc ten analfabetyzm (wtórny?) wcale nie ma się tak źle... Ale już z czytaniem wnuczce miałem problem, bo jej cierpliwość kształtowana przez świat cyfrowy jest zupełnie inna. Zię informatyk zwrócił mi uwagę, że nawet tempo kreskówek oglądanych przez moją wnuczkę i jej rówieśnych jest już inne niż mojej Gąski Balbinki czy nawet Smerfów mojej córki. Żyjemy już w innym świecie. Dobrze opisał go Thomas Eliot zadając retoryczne w gruncie rzeczy pytanie: „Gdzie jest nasza mądrość utracona na rzecz wiedzy, gdzie jest nasza wiedza utracona na rzecz informacji?” Czujesz, Czytelniku te kolejne straty, bo ja czuję. Mój Dziadek był mądrzejszy ode mnie, tak to widzę po latach, chociaż przerastałem go wiedzą, nie miał szansy pokonać szkół, zdobyć wykształcenie, które było moim udziałem, tak, wiem więcej od niego, ale mądrzejszy się nie czuję. Tak samo czuję, że swoją wiedzą przerastam pokolenie moich dzieci, choć wcale się z tego „przerastania” nie cieszę, wolałbym „nie przerastać”. Ale informacyjnie nie dorastam do pięt nawet mojemu nastoletniemu wnukowi. Jestem dla niego rumpolem analogowym. Jesteśmy na równi pochyłej: wiedza wyparła mądrość, a ją wypiera informacja.

III Będzie tylko „gorzej”

(„Gorzej opatrzyłem cudzysłowem, bo dla jednych – dla mnie na pewno – „gorzej”, dla innych tylko „inaczej”, a dla jeszcze innych być może „inaczej, czyli lepiej”). Zamykam te rozważania dodatkowym wyjaśnieniem wskazującym na to, że lepiej już było. Znamy (bo to wiedza w końcu) wszyscy pojęcie metabolizmu. Tłumacząc je na modelu cybernetycznym czy informatycznym: mamy coś na wejściu, owo coś przetwarza jakiś system, agregat, urządzenie, do którego owo coś wprowadziliśmy i otrzymujemy inne coś na wyjściu. Na przykładzie naszego organizmu możemy to porównać, wyjaśnić, że oto jemy, trawimy i to trawione przeistacza się „na wyjściu” częściowo w nas samych, częściowo zostaje wydalone, częściowo przetwarzane jest w wydatkowaną przez nas energię. Dobry metabolizm polega na tym, że wszystko w tym łańcuchu ma swoją miarę. Jeżeli (z)jemy zbyt dużo, to chorobliwie tyjemy, psują się, bo nie wytrzymują pracy ponad swoje możliwości nasze

wewnętrzne organy (wiem coś o tym, niestety). Przepraszam za ten banalny opis, który „wiedzących” może wkurzyć, ale jest mi on niezbędny, bo chcę mówić – nie ja pierwszy – o metabolizmie informacyjnym. (Ćwierć wieku temu prowadziłem na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej autorskie zajęcia „Kulturowe oddziaływania komputera” i pojęcie tegoż metabolizmu znam z tamtego jeszcze czasu, to żadne novum.) Ten metabolizm też podlega zakłóceniu jeśli ilość informacji na wejściu przerasta nasze możliwości jej absorpcji, obróbki, przetworzenia i przyswojenia. A przerasta. Jesteśmy **przebudźcowni!** I nawet w tej tak radośnie łykanej rzeczywistości cyfrowej przegrywamy, choć nie jesteśmy tego do końca, lub wcale, świadomi. Jak to przegrywanie wygląda? Podobnie jak w przypadku metabolizmu pokarmowego – dlatego małe dziecko, jego młody, jeszcze nie ukształtowany w pełni, a na początku właściwie nieuksztaltowany w ogóle organizm „uczmy” jeść powoli i delikatnie; to chyba wszyscy wiedzą. Gdybyśmy robili inaczej, to wewnętrzne organy dziecka nie wytrzymałyby pracy ponad swoje, wątłe na początku, siły. A metabolizmu informacyjnego żaden rodzic nie kontroluje u swojego dziecka dając mu do ręki smartfon. Ktoś mądry powiedział, że jeśli nie kontrolujemy środowiska informacyjnego swoich dzieci, to nie mamy prawa mówić o **wychowaniu**. Nie kontrolujemy też sami siebie pod tym względem. Ja bym chętnie wprowadził tu dodatkowo termin metabolizmu kulturowego, który kiedyś działał dzięki literaturze. To ona pomogła nam przyswajać nie tylko całą kulturę z jej różnorodnością i pięknem, ale i budowała nas wewnętrznie dając swoistą kulturową odporność immunologiczną na miałość, badziewie kulturowe, denną sztukę i literaturę. Teraz tej odporności immunologicznej już nie mamy. Ale skoro wieszczę przebudowę struktury naszego życia, to bardziej martwię się, że nie mamy – jako społeczeństwo – także zbudowanej, wytworzonej dobrej cyfrowej, informatycznej odporności immunologicznej. To z powodu jej braku nasze dzieci są narażone na wszelkie kłopoty, jakie za tym idą. Chyba nie muszę epatować nikomu drastycznymi przykładami ofiar przemocy w sieci, w Internecie. Tu polegniemy z kretelem. A że, przynajmniej w jakiejś części, w jakimś stopniu, się nie mylę, niechaj posłuży Państwu za dowód choćby ostatni przypadek rozkręcenia afery przy wydatnej pomocy AI wobec dziennikarki, która miała zadać jakieś obraźliwie sformułowane wobec Prezydenta pytanie, a której – jak się szybko okazało – w ogóle na tejże konferencji nie było. Jak to mówił prokurator ery stalinowskiej w ZSRR Andriej Wyszynski: „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”. AI, nasz, bo w końcu nasz, ludzki wynalazek zwalnia nas z myślenia? A kiedyś myślenia uczyłem się dzięki literaturze. Żegnajcie tamte czasy. Będzie tylko gorzej.

Andrzej Wołoszewicz

Andrzej Walter

Kultura bez kultury

Tak, tak, tak, sto razy tak. Andrzej Wołoszewicz zgrzeszył tekstem, w którym jakże... kulturalnie (sic!), ach jakże kulturalnie, choć nieco dosadnie opisał naszą najbliższą i tę dalszą przyszłość. Ponoć miała być to polemika do tekstów Piotra Müldnera-Nieckowskiego, tudzież niejakiego Waltera.

Wołoszewicz zaczął od Piotrowej oczywistej oczywistości – książka była, jest i będzie, jakoś tam pozostanie, no i oczywiście od Walterowskiego lamentu nad lamenty i utyskiwania. Ja lamentu i utyskiwania mam już dość jak mało czego, zatem Andrzej Wołoszewicz zafundował mi swoistego rodzaju katharsis: pojęciowy i treściowy, ale i postawę korekcyjnej mocno skrzywionej postawy zwanej z łacińskiego... no wiecie zresztą jak zwanej, a ponieważ słowo to dziś nader popularne, każdy może sobie w myślach po-----ć, odmieniając owo popularne słowo dowolnie przez przypadki – zwłaszcza Waltera. Dla sportu i ukulturalnienia ducha, bo choć duch w narodzie nie ginie, to ustalmy – nie unosi się już nad wodami, myszy Popiela definitywnie wpier---, znaczy się zjadły; ze smakiem; łącznie z kręgosłupem i pozostałościami, a nam się ostał jeno... cham, albo brud.

Ad rem. Czytać już nie będą. **Największa kara wymierzana uczniom to przeczytać fragment książki, publicznie, na głos, bez zrozumienia.** Mój Boże. I Wołoszewicz cofa się do... Homera, do przekazu oralnego, który zastępujemy w dziejach przekazem pisany. Na szczęście wyjaśnia o co chodzi z tym przekazem oralnym, że to po prostu przekaz ustny. Nie ten, którym zaślinał Bill Clinton w Gabinetie Oralnym, oj, pardon, Owalmym. Przekaz ów stał się dziś chyba jednak kulturą naszej Kultury, wobec którego inne „przekazy” to zwyczajna dewiacja, a 50 twarzy Greya to taka bajka dla dzieci. Chyba „na poziomie”.

I tak dalej i tak dalej. Ad rem dwa. Wołoszewicz:

„Literatura do jakiej byliśmy przez wieki przyzwyczajeni, literatura będąca głównym, podstawowym (i jedynym!) nośnikiem kulturowego przekazu wartości, przekazu wyrafinowania tejże kultury, literatura jako sposób docierania do „rzesz i mas” traci swój monopol. Dlaczego? Z dwóch powodów. Bo czytanie jest... trudne! Wymaga wysiłku, jest aktywnością, czynnością, która nas wzbogaca, tyle że to wzbogacanie jest okupione pracą myślową, intelektualną ale i fizyczną, wymaga czasu, cierpliwości, pokory.”

Pokory? A czym jest pokora? Chrześcijańskim miłosierdziem? Emigracją wewnętrzną? Postawą outsiderów? Wołoszewicz twierdzi,

(Dokończenie na stronie 10)

Kultura bez kultury

(Dokończenie ze strony 9)

że jesteśmy przebadzowani, bo jesteśmy, jesteśmy nabodźcowani, naszprycowani postawą: ja, ja, ja... mój Boże – jaka pokora? To po co czytać? Nawet tytuły i anonse. Ogłoszenia i oferty, a to już może i owszem i *à propos*.

Czytanie jest trudne. Najtrudniejszy jest (...) na przykład Remigiusz Mróz. Trudno go zrozumieć. Pojąć jak ktoś tak wynaturzony może być u Niego (pisarza nad pisarzy) masowym bohaterem książki tej czy innej. Trudna jest przecież Olga Tokarczuk. (Ech) Trudna i nudna. Trudny jest Szczepan Twardoch. Trudny i brudny. Obsceniczny niejako. Obraburczy. Pisarz prowokator. To jakby nasz top. Ten właściwie nieczytany, ale dostępny w salonikach prasowych (które zastąpiły kioski ruchu – taki relikw PRL jak budki z piwem)... Dobra. Przystajemy się śmiać, bo i śmiać się nie ma z czego. Piwo stało się naszą narodową specjalitą – w miejsce książki...

Zapytajmy więc sztuczną inteligencję czym jest naród, który przestaje czytać...

AI: „Naród, który przestaje czytać, staje się podatny na dezinformację i złe decyzje, ponieważ traci dostęp do wiedzy i krytycznego myślenia, co osłabia jego fundamenty demokratyczne i obywatelskie. Powieść „Naród, który przestaje czytać, mało wie” autorstwa Jima Trelase'a, przypomina, że brak czytelnictwa prowadzi do ignorancji i podejmowania niekorzystnych decyzji na poziomie społecznym i politycznym.

Konsekwencje zaprzestania czytania przez naród:

Zwiększone ryzyko manipulacji i dezinformacji:

Bez umiejętności krytycznego myślenia, naród staje się łatwiejszym celem propagandy i fałszywych informacji.

Podejmowanie złych decyzji:

Niewiedza prowadzi do nieświadomych, błędnych wyborów na poziomie osobistym, społecznym i politycznym.

Osłabienie demokracji:

W społeczeństwie, gdzie większość jest niepiśmienna lub nieczytająca, wykształcona mniejszość może być przegłosowana, co jest niebezpieczne dla systemu demokratycznego.

Utrata wspólnej pamięci:

Brak aktywności czytelniczej i studiowania historii może prowadzić do utraty łączności z przeszłością, a tym samym osłabić poczucie tożsamości narodowej.

Dlaczego czytanie jest ważne dla narodu?

Rozwój krytycznego myślenia:

Książki kształtują zdolność analizy i oceny informacji, co jest kluczowe dla świadomego obywatela.

Dostęp do wiedzy:

Czytanie pozwala na zdobywanie wiedzy o świecie, historii i różnych perspektywach, co buduje fundamenty inteligentnego społeczeństwa.

Kształtowanie tożsamości:

Książki zawierają historie, tradycje i dziedzictwo kulturowe, które pomagają narodowi zrozumieć siebie i swoje miejsce w świecie.

Rozwój umiejętności społecznych:

Lektura literatury pozwala na rozwijanie empatii, zrozumienia dla innych i uczestniczenia w szerokiej dyskusji o ważnych sprawach.



Rys. Stefan Rusin

Bardzo mądra ta „sztuczna inteligencja” tyle, że... jakaś taka sztuczna. Mądrości można wygłaszać. Mądrości można usystematyzować, można je zgłębić, pojąć i przemielić mentalnie, rozłożyć na czynniki pierwsze i poskładać z powrotem do konstrukcji syntetycznej, tylko co z tego. Cóż z tego skoro gros społeczeństwa idzie na tak zwaną łatwinę i swoje dzieci tresuje zamiast wychowywać, nastawia merkantylnie na świat, zamiast budzić pasję, uczy wyrachowania i tak zwanej zaradności zamiast szlachetności. Czytanie tu nie pasuje. Jakiś Bóg tu nie pasuje. Cnoty, zalety, dobro, wiara – nadzieja i miłość tu nie pasują. Tu

pasuje podstawowa umiejętność kalkulacji, ja, ja, ja i dobry wybór. Plan doskonały. Wyobraźnia biznesowa. Hodowla ludzi sukcesu. Twój sukces to porażka bliźniego. Człowiek twój wróg. Ty jesteś centrum wszechświata i stworzenia, oj nie, żadnego stworzenia – Stwórcą ty sam sobie jesteś i sterem i żeglarzem i okrętem, najlepiej takim z KPO. Piekło to inni – Donald Sartre (?)

To, co robi się z tymi biednymi dziećmi w polskiej szkole to hucpa i skandal nad skandale. To zbrodnia przeciwko ludzkości i każdy, kto się dokłada do takiego kształtowania następnych pokoleń zostanie za to ukarany. Jak? Efektami tych manipulacji i eksperymentu społecznego. Efekty będą piorunujące. Eutanazja i zgrzytanie zębów. A może i nowe, jeszcze straszniejsze rewolucje. Któż to wie?

Książka dziś nic nie znaczy. Nikogo nie pobudza, nikogo nie przekonuje, nie powoduje dyskursu publicznego, nie wywołuje emocji, nie znaczy wiele, albo niczego nie znaczy. Książka dziś jest: rozrywką, gadżetem intelektualisty (lub aspiranta na intelektualistę), jest taką atrapą rozpoznawczą – oto intelektualista, wyższa kasta, osoba podobno wykształcona. Obojętnie tu już jaka książka. Reszta gawiedzi i tak tego nie rozpoznaje. Wyciągnąłem ostatnio w miejscu publicznym Mein Kampf. Nikogo to nie wzrusza, nikt nie zwrócił mi uwagi, na mnie uwagi. Ba, nikt chyba tego nawet nie zauważył. Człowiek niewidzialny. Czytający – człowiek-nikt. Każdy ma prawo... i tak dalej. A szpanować można nawet Mrozem. Kiedy wsiadam w metro w Paryżu, Berlinie czy Londynie widzę jak nisko upadliśmy, bo widzę kto tam czyta i w jakiej ilości są ci czytelnicy. Nie będę tematu rozwijał. To duży temat i wstydlivy. Niestety.

Polska i Polacy to dziś naród upadły. I jak wieści Wołoszewicz – będzie tylko gorzej. Głupiej, prymitywniej, bezrefleksyjniej, bardziej miało i bardziej strasznie, bardziej powierzchownie i prostacko.

No i bardziej *wesoło, człowiek w pracy, mała w Zoo. Puste pole za stodołą, chłop zaprawia, ale jazz*. Słowa tej piosenki już przetrwały. Książka też przetrwała, czytelnik przetrwał. Dziwolał nad dziwolał. Świat nie przetrwał, a Polska to już na pewno nie.

Tylko w sumie – co mnie to wszystko obchodzi. Ja jeszcze w tym krótkim życiu mam tyle do przeczytania, że chyba mi tego życia nie starczy, a i do napisania coś tam jeszcze mam, tyle, że już wiem. Jest niewielka szansa, że przeczyta to w ogóle ktoś, kiedyś, być może za jakieś sto czy dwieście lat, a może i nawet to nie. Będzie to pisanie dla pisanego i nic – dla nikogo więcej. Dlatego tak śmiesz mnie, niektórzy (...) koledzy po piórze. Ale jazz...

Andrzej Walter



Dariusz Pawlicki

Piasek, tylko piasek...

*Zobaczyć świat w ziarenku piasku,
Niebiosa w jednym kwiecie z lasu.
W ściśniętej dłoni zamknąć bezmiar,
W godzinie - nieskończoność czasu.*

William Blake,
z poematu *Wróżby niewinności*.

I

Gilbert K. Chesterton był zdania, że „wszystko, co istnieje, zostało wyratowane z przeogromnej katastrofy, to jest z «tonącego statku» niebytu. Wszystko na świecie, przez sam fakt bycia tym, czym jest, stanowi wielkie «mogło-tęgo-nie-być», które zostało ocalone od nieistnienia” (z *Mistyki kosmosu* Henry’ego A. Garona).

Tak więc według autora *Człowieka, który był Czwartkiem*, gdyby nie owe (cudowne?) ocalenie, nie byłoby także piasku. Tego tak często spotykanego elementu świata rzeczywistego. A na znacznych obszarach Ziemi stanowiącego jedyny, obok nieba, element owej rzeczywistości. I to takiej, poza którą nie ma niczego innego, mogącego stanowić kontrast/przeciwagę. I to, aż po horyzont. I jeszcze dalej...

Początkowy okres swego życia, ten okres kiedy dzieci bawią się w piasku, bawią się nim, spędziłem w okolicy, gdzie rosły tylko drzewa i trawa. Miejsc zabaw dla dzieci, takich jak piaskownica, tam nie było. Gdy po zdecydowanej zmianie miejsca zamieszkania, ona pojawiła się w zasięgu mego wzroku, zdecydowanie inne sprawy mnie już interesowały.

Wśród pamiątek fotograficznych przechowuję zdjęcie, jakie zostało zrobione w Augustowie, na wschodnim brzegu jeziora Necko. Prawie na pewno zrobił je mój Tato. Przedstawia ono mnie: przykucnąłem na wąskim pasku nadjeziernego piasku; nie patrzę w obiektyw. Zostałem na tej fotografii uwieczniony – tak, uwieczniony, gdyż powracam do niej po przeszło pół wieku – na wakacjach, po przejściu do trzeciej klasy. Rzecz także w tym, że ja tę sytuację pamiętam. Nie twierdzę, że pamiętam doskonale, z najdrobniejszych elementami. Aż tak, to nie. I jestem nawet skłonny uznać, że zasługa w tym podtrzymywaniu pamiętania spoczywa właśnie w tym zdjęciu. Choć najpewniej nie za jego sprawą pamiętam, jak wilgotny był to piasek – moje sandały lekko w nim się zapadły. Tak, ten prostokątny niewielki kawałek sztywnego papieru jest istotny... On ilustruje pierwszy zarejestrowany i zapamiętany przeze mnie kontakt ze skałą osadową o nazwie piasek.

Drogi polne i leśne na Suwalszczyźnie, wryte w moją pamięć, a także, raz po raz, przypominane sobie przeze mnie, są piaszczyste bądź piaszczysto-żwirowe. Dróg tych przemierzyłem setki kilometrów. Na niektórych ślady swe pozostawiałem wielokrotnie

(ale, co najwyżej, na kilka dni). Najczęściej dlatego, że chciałem. I owo chcenie nie opuszcza mnie.

Na piasku pokrywającym płytkie przybrzeżne części jeziora Pogorzelec, w ciepłe wieczory, jak i w noc spoczywają raki. Są bardzo ciemne, a przez to wyraźnie widoczne na jasnym piasku, gdy padnie snop światła wypływający z latarki elektrycznej. Może zdarzyć się, że już wtedy uciekną, a mówiąc dokładnie: szybko wycofają się, po raczemu, w ciemność głębszych wód jeziora. Lecz najpewniej spowoduje to wysuwająca się ku nim ręka z kciukiem i palcem wskazującym, przygotowanymi do zaciśnięcia się na panczeru.

Grzebiuszka ziemna, niewielki płaz bezogoniasty, zwany również huczkiem (ziemnym), obserwowana przeze mnie z odległości kilku metrów, powoli przeszła przez piaszczystą drogę, na której ruch jest znikomy. Po czym powoli, bardzo powoli zaczęła zagrzebywać się w piaszczystym poboczu. Gdy widoczny był już tylko czubek jej głowy, ruszyłem w dalszą drogę.

II

Piasek jest luźną skałą osadową o średnicy ziaren od 0,05 do 2 mm. Ale pod wpływem procesów geologicznych o nazwach diagenetyzacja i lityfikacja może przeobrazić się w piaskowiec, związną skałą osadową. Natomiast gdy w grę wchodzi piasek kwarcowy, za sprawą metamorfizmu, dochodzi do wytworzenia kwarcytu, kolejnej skały osadowej, tym razem bardzo twardej.

Piasek będący surowcem odnawialnym, stale bowiem powstaje, wiele ma zastosowań. Używa się go, chociażby, do wyrobu szkła, betonu, zapraw murarskich, tynków. Z tym, że piasek pustylny, a są jego ogromne ilości, do budownictwa w ogóle się nie nadaje (jakoby dlatego, że wiatr przesypujący ustawicznie taki piasek sprawia, że krawędzie poszczególnych ziaren stają się zaokrąglone i gładkie). Nie to, co jeziorny, rzeczny, morski bądź kopalniany.

Za sprawą oddziaływania wiatru bądź wody nagromadzony piasek przybiera rozmaite formy akumulacyjne, takie jak „wydmy, rewy, łachy, zmarszczki, antydiuny, fale piaszczyste, wstęgi piaszczyste i inne”.

Piaszczystych wznieścień na Suwalszczyźnie – teraz tylko w tej krainie przebywa moja dusza – nie brakuje. W zboczach niektórych widać niewielkie piaskownie, czyli miejsca, w których pozyskuje się piasek. Lecz dominują już nieużytkowane. Niekiedy jest to wynik wyeksploatowania złoża. To z tego powodu zniknęło znajdujące się nad jeziorem Karolin

wzniesienie o nazwie Barania Góra. Można powiedzieć, i nie będzie to przesadą, że w ciągu kilku dziesięcioleci zostało rozwieżone po okolicy wozami konnymi, potem przyczepami ciągniętymi przez traktory. Tak dobry był piasek, z którego ostatni (jak dotąd) lodo-wiec zbudował ów pagórek.

Ale piasek to nie wyłącznie surowiec – o czym była już mowa – przede wszystkim dla budownictwa...



Aleksander Gierymski, *Piaskarze* (1887)

III

Burza piaszkowa, dokładniej mówiąc: pyłowopiaszkowa, jest zjawiskiem atmosferycznym powstającym i trwającym, z równoczesnym udziałem silnego wiatru i piasku oraz innego drobnego materiału. „Największe sięgają do 2,5 km wysokości”. W takich wypadkach są one widoczne z kosmosu.

Burze piaszkowe dają się we znaki na północnoamerykańskich Wielkich Równinach, na Saharze, półwyspie Arabskim, pustyni Gobi, w centralnej części Australii. Można je również obserwować na Marsie. Są one jednak zdecydowanie bardziej spektakularne od tych ziemskich. Niekiedy trwają bowiem na całej powierzchni Czerwonej Planety i to setki dni.

IV

Zanim, dla przyspieszenia wysychania atramentu na różnego rodzaju pismach, zaczęto używać suszki, wykorzystywano do tego celu piasek. Przechowywano go w niewielkim pojemniku przypominającym solniczkę.

Urządzenie do odmierzania czasu zwane klepsydrą znane jest od starożytności. Z tym, że na początku, jak też przez całe wieki, stosowana była w niej woda.

Wizerunek owego czasomierza jest często spotykanym, od starożytności po współczesność, symbolem upływu czasu. Stąd jego obecność np. na nagrobkach, jak i na obrazach, zwłaszcza tych powstałych w dobie baroku.

(Dokończenie na stronie 12)

Piasek, tylko piasek...

(Dokończenie ze strony 11)

Klepsydra z przytwardzonymi skrzydłami była często występującym „przedstawieniem” / „upostaciowieniem” łacińskiej sentencji *tempus fugit* (czas leci).

Brak jest – przynajmniej jak dotąd – jakichkolwiek informacji na temat używania w Europie klepsydry przed XIV wiekiem. Natomiast pierwszym udokumentowanym przypadkiem jej pojawienia się, i to właśnie w wersji piaskowej, jest znajdujący się w Palazzo Pubblico w Sienie fresk „Alegoria dobrego rządu”. W 1338 r. namalował go Ambrogio Lorenzetti.

Ernst Jünger, który kolekcjonował zegary piaskowe – ale nie tylko je – w Promieniowaniach, a konkretnie w Drugim dzienniku paryskim, pod datą: 16 lutego 1944 r., dokonał następującego wpisu związanego z otrzymanym w prezencie takim właśnie zegarem:

Rzecz mi się przyda, ponieważ widok zegarów mechanicznych staje się dla mnie coraz bardziej nieprzyjemny, szczególnie w czasie rozmowy, lektury, cichych rozważań i studiów, których trwania nie chciałoby się odmierzać co do minuty – posłuży temu sączenie się ziarenek w szklanym naczynku. Czas zegara piaskowego jest inny, mocniej związany z życiem: nie wybija godzin i nie przesuwają wskazówek. Tu jest jeszcze czas, który upływa, przelatuje, sypie się, czas nie wyteżony, nie zrytmizowany.

W mitologii europejskiej znana jest postać związana z piaskiem, szczególnie popularna w świecie germańskim, zwłaszcza tym niemieckojęzycznym. Mam na myśli Piaskowego Człowieka zwanego także Piaskowym Dziadkiem (niem. Sandmann). Wiczoorem posypuje on dzieciom oczy piaskiem i w ten sposób je usypia (śladem po tym jest tzw. piasek w oczach po przebudzeniu). Postać Piaskowego Człowieka pojawia się np. w opowiadaniu pod tym właśnie tytułem (Sandmann) autorstwa Ernsta T. A. Hoffmanna. Z tym, że w tym utworze, mającym znamiona horroru, istota ta jest groźna: przynosi ona nie tylko sen dzieciom. Piasku używa również, w pewnych sytuacjach, jako swego rodzaju broni. Jako, że ten może uszkadzać oczy. Na dodatek wywołuje koszmara. Dlatego dzieci, gdy zostają już same w ciemnym pokoju, boją się jego nadejścia. Właśnie o takiej sytuacji mowa jest w utworze „Wejść Piaskowy Człowieku” (ang. Enter Sandman) otwierającym album z 1991 roku, pod tym samym tytułem, amerykańskiego zespołu metalowego „Metallica”. W tym wypadku, jak najbardziej, dzieci mają powody, żeby bać się, gdy zostaną same w ciemnym pokoju. Natomiast w realizowanym od 1959 roku – nieprzerwanie do dziś – niemieckim serialu kukielkowym dla dzieci

zatytułowanym „Piaskowy Dziadek” (z niem. Sandmännchen) tytułowy bohater jawi się, jako bardzo przyjazny dzieciom. Piasek, którego używa jest najwidoczniej najwyższej jakości, gdyż po jego użyciu nie śnią im się koszmara.

V

Piasek stanowi efekt rozpadu skał litych pod wpływem erozji, działania wiatru i wody. Ów rozpad jest przy tym niezwykle rozciągnięty w czasie. Tak więc biorąc do rąk piasek, mamy bezpośredni kontakt z wytworem natury, którego wiek należy liczyć w milionach lat. I jeśli nie jest to wiek tworzących go drobin, jako takich, to taki może być wiek materii, z której one powstały. Przesypując między palcami piasek, bądźmy świadomi tego, że „dotykamy” nimi milionów, a może nawet miliardów lat. Jakby więc nie było, przesypujemy czas. Mamy bowiem do czynienia, można by tak rzec, z jego namacalną postacią. Nie to, co przesypując ziarna jakiegokolwiek zboża bądź ziarenka maku. Tu w grę wchodzi tylko lata. I choćby były ich dziesiątki, nie robi to wrażenia.

Może św. Augustyn zupełnie inaczej sformułowałby poniższą, tak znaną myśl, gdyby akurat przesypywał piasek:

Czym jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem.

Piasek, jako piasek nie figuruje w słownikach symboli. Przynajmniej ja nie natknąłem się na takową symbolikę. Choć zawsze można odwołać się do symboliki kamienia – ta zaś jest bogata (czemu zresztą trudno się dziwić) – piasek to przecież drobne, bardzo drobne kamienie. W tym miejscu warto zwrócić uwagę na dwie, wspólne w swym przekazie, wypowiedzi, pochodzące jednak z odległych od siebie epok, dotyczące roli i funkcjonowania człowieka pośród kamieni w ziemskiej rzeczywistości:

Grzegorz I Wielki (ok. 540-604) był zdania, że człowiek „był ma wspólny z kamieniami, życie – z drzewami, czucie – ze zwierzętami, rozum – z aniołami”.

Natomiast C. S. Lewis w Odrzuconym obrazie zawarł następujące spostrzeżenie:

W powszechnym średniowiecznym mniemaniu istniały cztery stopnie rzeczywistości ziemskiej: zwykłe istnienie (jak u kamieni), istnienie wraz ze wzrostem (jak u roślin), istnienie i wzrost z czuciem (jak u zwierząt) i wszystko to wraz z rozumem (jak u ludzi).

U podstawy rzeczywistości, czyli tego, co istnieje, jest kamień, czyli także, i to w znacznym stopniu, piasek. Chociażby wtedy, gdy z jego zastosowaniem wznoszone są fundamenty. A niejednokrotnie i to, co na nich zostaje osadzone (dosłownie i w przenośni).

Nim wyrósł las, piach już był (niejednokrotnie, gdy z różnych powodów, zniknął las, piasek ponownie dawał o sobie znać). Na nim zresztą najpewniej powstał Ogród w Edenie. Słowo Eden pochodzi najprawdopodobniej z języka akadyjskiego, w którym słowo *edin* znaczyło step bądź pustynię. Lecz Biblia nie mówi jednoznacznie czy Eden został stworzony na pustyni, czy też na stepie.

Według Henriego Frédérica Amiela „kraj obraz jest stanem duszy”. Aż ciśnie się na usta, w związku z tym, pytanie bezpośrednio nawiązujące do tematu niniejszego szkicu: Jaki jest/może być stan duszy jeśli krajobrazem, z którym ma ona do czynienia jest pustynia piaszczysta (a i jakkolwiek inna)? Czy na skutek kontaktu wzrokowego staje się ona równie sucha, wyjałowiona, nieurodzajna, więc nic z niej nie wyrośnie? Nic, także jeśli chodzi o sferę mistyczną? Ale może jest jednak i tak, że pewne dusze, gdy zostaną do tego „przymuszone” bądź gdy chcą spełnić np. swój kaprys, są w stanie z Niczego wyczarować/wytworzyć Coś zaskakującego?

Zgadzam się w pełni z Bartoszem Działożyńskim będącym zdania, że „widok z okna to rzecz o pierwszorzędym znaczeniu dla umysłu” (z „Przedmowy” do Biographia literaria Samuela T. Coleridge’a). Lecz w związku z tym nasuwa się pytanie nawiązujące do tych zadanych w poprzednim akapicie: Jak umysł zareagowałby na samym początku, a następnie jak reagowałby w kolejnych dniach, gdyby zaokienym widokiem była pustynia i tylko ona?

Patrzanie nie jest – należy to mieć na uwadze – tożsame z widzeniem. Tak więc patrzący zarejestrowałby pustynię, jako morze piasku, ewentualnie kamieni. Natomiast widzący dostrzegłaby dodatkowo zmieniające się kształty wydm; zmienne, w zależności od pory dnia, kolory pustyni i nieba rozpościerającego się nad nią.

Nie sądzę jednak, aby pustynia, jako ona, ona sama, dostarczyła – także w przypadku bystrego obserwatora – bogatej pożywki dla przemyśleń. I po pierwszym zachłystnięciu się pustynią, a ono z pewnością miałoby miejsce, umysł musiałby wspomagać się czy to np. literaturą, czy to muzyką. A najpewniej i tym, i tym, i jeszcze czymś...

Mogą tego dowodzić Ojcowie Pustyni, pierwsi mnisi chrześcijańscy, radykalni asceci, jacy pojedynczo bądź w niewielkich społecznościach (początkowo nieformalnych), od końca III w., żyli na pustyniach egipskich. Później także na terenach pustynnych Syrii i Palestyny. A tym z czym przyszli na owe pustynie było chrześcijaństwo. I to ono, przeżywające swą początkową fazę, ich wspomagało/wypełniało/dawało siłę do prowadzenia takiego, a nie innego życia. A było ono, mając na uwadze także skalę owego samotnicstwa, czymś zupełnie nowym.

(Dokończenie na stronie 20)

Kozetka (116)

Dubbing podwodnych stworów

„My soul and yours are the same.
You appear in me I appear in you.
We hide each other.”

Rumi

Joanna Friedrich

Cóż, nawet ja zrobiłam się ciekawa, po najdłuższych wakacjach, co napiszą moje palce, kiedy usiądę do klawiatury. Rzecz się ma, rzecz jasna, inaczej z papierem, ale o tym innym razem.

Tytuł „dubbing podwodnych stworów” to cytat z mojego ulubionego partnera. Mówi się, że smutek jest pochodną inteligencji. Interesuje mnie tylko taka inteligencja, która łapie mnie na dubbingu podwodnych stworów i wyciąga na powierzchnię.

W realu dialog brzmiał tak:

Północ. Nic się nie dzieje, nareszcie. Nocny marek wchodzi do łóżka i mówi do Anny Noceur (=nocny marek po francusku):

– Masz tak niski głos, że mogłabyś robić dubbing podwodnych stworów.

– Przecież nic innego nie robię.

Odpowiadam, tym samym zaczynając konkurs na cięte riposty. Jego nocna edycja ma się lepiej niż dzienna. Świat nie ma zasłon, zaciera się granica pomiędzy jawą i snem.

Te wakacje były dla mnie odświeżające. Ponure na świecie, wiem, ale skoro piszę te teksty dla swoich wnuczek, chciałabym w nich dorzucić coś prosto od siebie.

Dowiedziałam się, że moja prababcia

szyla kostiumy i dekoracje na scenę teatru, a dziadek tworzył barokowe kościelne ambony i drewniane młyny. To wiele wyjaśnia.

Na Krecie miałam fajny sen. W puszczy bez zmian. Sarny i dziki kotłują się namiętnie, jakby nie było jutra. Bobry: Bez zmian. Spadają kasztany. Niedaleko mamy bunkier, ale nie wiadomo, kto ma do niego klucze.

W mojej szafie bez zmian: Od kilku sezonów wygląda tak, jakbym wybierała się do Peru i nie mogła dolecieć na miejsce. Lamy, róże, kapelusze. No i biel.

Moda nadal mnie interesuje, odnajduję się w niej. Nic nie jest doskonałe, niczego nie można brać śmiertelnie poważnie, a jedna nieśmiertelna meduza swoją nieśmiertelność osiąga cofając się w rozwoju, no chyba, że ktoś ją zje. Tak, interesują mnie podwodne stwory.

Tymczasem coś dla stworzeń lądowych: Zaczniemy sezon delikatnie!

Ferragamo:



Juliusz Wątroba

Kolejki

Już nie stoję w kolejce
po szczęście

Shczęścia stoją w kolejkach
po mnie

Żeglowanie

Przypływając na ten świat
ubierz kapok wiary
w miłość

A odpływaj bez kapoka
– w morzu nieba utoń

Łańcuch

Nie zagryzajmy się
wzajemnie
bo i tak wszyscy jesteśmy
w łańcuchu pokarmowym
czasu

Różnica

Na ostrzu szpilki
zmieszczą się stada
aniołów
Na ostrzu mojego
ołówka
wszystkie światy

Oczywiście

Zamknąłem oczy
Widzę więcej
Wyobraźnia ma
sokoli wzrok

Kosmosy

W szarej kropli dostrzec
kosmos kolorów
Jak w kosmosie twoich oczu
widzieć niebo ziemi

Jeszcze?

Zaręczeni jeszcze
nie zaręczeni
swoją obecnością

Paradoksy?

Błękit nieba zatrzymany
w ptasich skrzydłach
Ciepło słońca
w twym uśmiechu
Tylko czas się nie chce
zatrzymać – porywa błękit
i uśmiech

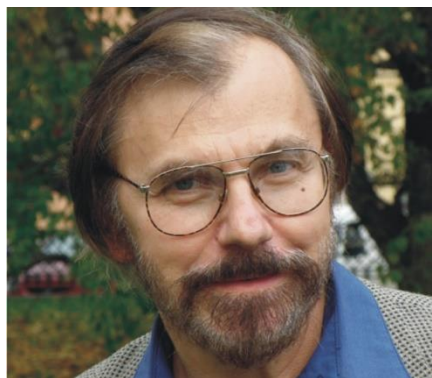
Negatyw

Słońce mruży oczy
na ciemność
Zakłada przeciwmroczne
okulary gdy dzień
negatywem nocy

Tylko chwile

Są takie chwile
że nawet noc się
rozstępnie

Listy do Pani A. (207)



Fot. Andrzej Dębowski

Podróż na jeden śrubokręt

Droga Pani!

Choć jesień w pełni, to jednak z sentymentem i tak zwaną łezką w oku wspomina się lato, ten miły czas wakacyjny, choć tegoroczne miesiące letnie nas nie rozpieszczały. Byłem, jak już chyba Pani wspominałem, na Mazurach. Pojechałem, oczywiście, samochodem, bo nie chciałem sobie odmawiać przyjemności prowadzenia. Zawsze się to jednak łączy z dreszczykiem niepokoju – jak będzie, czy szczęśliwie dojadę, czy samochód nie nawali po drodze.

Tym razem obeszło się bez dramatycznych przygód, co nie znaczy, że nie było sytuacji co najmniej emocjonujących. Otóż zapakowałem kłopoty do bagażnika, ruszyłem z parkingu do miejsca, w którym zwykle zawracam, aby ustawić się w kierunku wyjazdu. W pewnym momencie silnik zgąsz, chciałem więc odpalić na nowo, jak zwykle to robiłem. Tymczasem kluczyk ani drgnął, nie dał się przekręcić ani w prawo, ani w lewo, kontrolki się zaświeciły, nie było możliwości wyłączenia stacyjki. Na szczęście dosyć blisko jest zaprzyjaźniony warsztat, do którego w te pędy pobiegłem, obawiając się przez cały czas, że niewyłączony zapłon wyczerpie akumulator. Życzliwy pan mechanik przyjechał i zabrał podłóżkę merivę do warsztatu. Okazało się, że rozpadła się stacyjka. Zaczęło lamentować, że mam jechać, że wakacje, że plany... W końcu mechanik wymontował część stacyjki na zewnątrz. Oczywiście o uruchomieniu silnika kluczykiem nie było mowy. Teraz trzeba było tę część odpowiedzialną za zapłon poruszyć... śrubokrętem. Wszystko zadziało. I tak przez całe wakacje jeździłem „na śrubokręt”, ku wesołości rodziny i znajomych.

Nie było to wygodne, bo trzeba było poszukać części dyndającej na kabelkach i posłużyć się odpowiednio rzeczonym śrubokrętem. Raz na ruchliwym rondzie silnik mi zgąsz. Zanim w stresie drżącymi rękami i klnąc pod nosem udało mi się uruchomić go na nowo, utworzyła się kolejka aut, niemal do samej

Warszawy... Ale trzeba przyjąć na klątę motoryzacyjne blaski i cienie.

Ale to jeszcze nie koniec. Jadę sobie, nawigacja mnie prowadzi, mam nastawioną na Otwock. A tu dzwoni córka i mówi, abym jechał do Radości, bo ona już wyszła z pracy. Zapewniłem ją, że wiem jak mam jechać. W pewnym momencie nawigacja odzywa się „zjedź w prawo”. To machinalnie zjechałem, i ponieważ zorientowałem się, że jednak niepotrzebnie jadę na Otwock. Chciałem zawrócić, i wtedy kompletnie się pogubiłem. Dzwonię więc do Małgosi, a ona z trudem wyprowadziła mnie z labiryntu na podstawie moich informacji gdzie aktualnie się znajduje. Udało się.

Podobnie było na Mazurach, niedaleko punktu docelowego. Rozładował się telefon, a co za tym idzie padła i nawigacja. I co? Znowu któryś raz z rzędu po pomoc do Małgosi. Wszystkich rozbawiało to moje pogubienie. Wracając z Mazur pomyślałem sobie, że żartuję „w tym temacie” – jak to się dziś pięknie mówi. Podjechałem bez przeszkód pod docelowy dom, zaparkowałem i zadzwoniłem do Małgosi, która była w pracy. Mówię: „koniecznie musisz przyjechać, rzuć robotę, nie wiem kompletnie gdzie jestem”. Pyta mnie o jakieś topograficzne szczegóły. Relacjonuję udając podenerwowanie: „kompletnie zabłądziłem, stoję przy jakimś zielonym domu, za ogrodzeniem biega piesek, czarny, podpalany w typie polskiego gończego”. I tu już salwa śmiechu. I ulga, że ona nie musi jechać i mnie szukać, a ja, że kawał się udał. I tak na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

Trochę wesołości, nieco zdenerwowania; stacyjka już naprawiona, tylko wakacji szkoda, że tak szybko upłynęły. Ale trzeba wracać do codzienności. Zastałem na biurku dwa tomiki Urszuli Gierszon, poważne, inspirowane szeregiem doświadczeń osobistych, często bardzo intymnych, które tylko poeta potrafi wyrazić posługując się odpowiednio zuniwersalizowaną, ekspresyjną metaforą. Poezja Gierszon jest perfekcyjna. To nie sucha narracja. Jej wiersze są głęboko nasycone emocjami.

Wrażliwość na barwy, dźwięki, na całą naturę, stanowi ważny pierwiastek tych poetyckich komunikatów. Obecna niemal w każdym utworze kontestacja dopełnia ich ładunek emocjonalny; stanowi pewnego rodzaju „równoważnik” sprzyjający, obiektywizmowi poetyckich obrazów, które nadal zachowują swoją oryginalność i niepowtarzalność.

Pewien bunt wobec rzeczywistości nie jest oderwany tutaj od osobistych kontekstów. To prawda, że owa rzeczywistość była bardzo nieprzyjemna. Często niezrozumiała, pełna zagrożeń, jakże daleko odbiegająca od tej sprzed dwudziestu, trzydziestu lat, w której – przynajmniej z dzisiejszego punktu widzenia – czuliśmy się bardziej bezpiecznie, a nawet... komfortowo. Tak. Świat był inny, a teraz zmienia się szybko i diametralnie. W tej mierze poezja jest czułym sejsmografem reagującym na wszelkie wstrząsy artystyczne, obyczajowe, psychologiczne. Oczywiście, zależy to od wrażliwości twórców. Jednak owa wrażliwość nie obchodzi czytelnika. On

obcuje przede wszystkim z dziełem, i tam szuka potwierdzeń własnych doznań, wzruszeń, lęków, fobii. Przecież poezja nie tylko rejestruje, ale często żywi się owymi niepokojami, które stanowią istotne źródło inspiracji. Tak to bywa w twórczości Urszuli Gierszon. Proszę koniecznie z nią się zapoznać.

Tymczasem Waldemar Michalski, wybitny poeta mieszkający w Lublinie zrobił mi niespodziankę i przesłał mi swój „Mały tryptyk roztoczański.” Jest to drugie, rozszerzone wydanie „Małego tryptyku...”, którego pierwsze ukazało się w 2020 roku.

Te wiersze są głęboko zanurzone w regionalnej kulturze, pejzażu, folklorze; przywołują ludzi, którzy tam mieszkali, działali, swoją aktywnością odcisnęli swe piętno na historii ale i na współczesności tej przepięknej, wzruszającej krainy; którzy wpłynęli i wpływają na tamtejszy klimat, na kulturę, na sposób życia. Liryka Michalskiego, to właśnie wędrówka po olbrzymich obszarach opisywanej ziemi; po wsiach, miasteczkach, przysiółkach, leśnych ostępach. Barwna, ekspresyjna, pełna rozmaitych zauważeń, nasycona rozmowami, obecnością ludzi, odkrywająca – chciałoby się powiedzieć – duszę Rostocza. Ale nie tylko owa topografia jest tutaj ważna, choć przecież odgrywa niebagatelną rolę, jest bowiem zapisem ginącego świata, który usiłuje utrwalić i przeciwstawić się napierającej nań współczesności. I nie chodzi tu o tak zwane „zdobycze cywilizacyjne”, ale o pewien nieuchwytny etos, o swoiste postrzeganie takich wartości, jak uczciwość, rzetelność, gościnność, prawość.

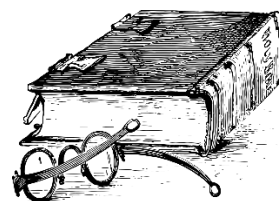
Pomimo topograficznych szczegółów nie można tego tomiku traktować jako bedekera. To coś znacznie więcej; to najczystsza liryka, bardzo emocjonalna, głęboka, nie trzeba dodawać, że niezwykle precyzyjna. Poszerzenie całości o nowsze wiersze znakomicie wzbogaca zbiór tych świetnych wierszy. Na pewno się Pani zachwyci i zechce może tę osobliwą, piękną krainę odwiedzić.

Powtórzę Pani: piękną krainę, która w dużej mierze zachowała swój dawny klimat, wbrew temu co teraz się dzieje. Czytam oto, że pewien proboszcz zamordował człowieka. Zadał mu ciosy siekierą, a potem go podpalił. To się w pale nie mieści. Dobrze, że nie wszystkich księży takich mamy. Świat wyrodnieje na naszych oczach.

A poeci odchodzą. Ostatnio przeżywałam śmierć Urszuli Kozioł. Poznaliśmy ją z Anią na spotkaniach we wrocławskim Domu Literatury. Znakomita poetka, młodzi jakoś nie dorównują. A może to tylko wrażenie starszego pana?

Serdecznie Panią pozdrawiam i życzę miłych, iście roztoczańskich chwil –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

W trosce o zdrową głupotę

Przeczytałem w sieci taki oto wpis jednego z internautów:

W trosce o dobro moich dzieci postanowiłem wypisać je z przedmiotu matematyka. Ciągłe spotykały się tam z nawiasem i jakimś marginesem. Zamiast trzymać się prostych, robiły coś jakimś kątownikiem i cyrklem naokoło. Przejawiały niebezpieczne ciągi, dążyły do granic, ale zawsze dzieliły je od nich jakiś epsilon. I zamiast zająć się macierzą, szukały ekstremów i ostatecznie dążyły do zera. Najgorsze, że cyfry były arabskie, a nazwa jednej z dziedzin pochodziła od jakiegoś Al-Dzabrah. Kto to widział w katolickim kraju! Dość deprawacji nieletnich matematyką!

Zachęciło to mnie to rozszerzenia tego wpisu o dalszą, pogłębioną „analizę” tego, co dzieje się wokół nowego przedmiotu: wychowania zdrowotnego...

Andrzej Dębkowski

No i właśnie. Kiedy tak sobie pomyślę, ilu rodziców budzi się dziś rano z poczuciem misji ratowania dzieci przed matematyką, biologią czy innym „złem tego świata”, to aż serce rośnie. Wreszcie mamy pokolenie odważnych! Dawniej człowiek bał się wyjść na głupca, a teraz głupota jest odznaką odwagi cywilnej. Dzisiaj bycie ignorantem to wręcz manifest światopoglądowy, a każdy, kto jeszcze zna tabliczkę mnożenia, patrzy się podejrzliwie w lustro i pyta sam siebie: „Czy ja przypadkiem nie dałem się zdeprawować?”

Zastanawiam się jednak, dlaczego po wychowaniu zdrowotnym skończyć tylko na

matematyce. Przecież w każdej dziedzinie czai się coś podejrzanego.

Dzieci na biologii uczą się o ewolucji – czyli o tym, że wcale nie zesłaliśmy z arki Noego wprost do sklepu mięsnego, tylko gdzieś po drodze kręciły się małpy. Skandal. Zamiast zostawić dziecko w błogiej nieświadomości, że wszystko stworzył Pan Bóg w sześć dni, a siódmego usiadł na fotelu i włączył transmisję Ligi Mistrzów, to my karmimy je opowieściami o rybach, które postanowiły wyjść na ląd. No, piękny przykład dla młodych – buntownicze ryby! To jeszcze im się zachce nie chodzić na religię.

A fizyka? Tam dzieją się rzeczy równie niebezpieczne. Każą dzieciom wierzyć, że to nie anioł zrzuci jabłko z drzewa, tylko działa jakieś niewidzialne „pole grawitacyjne”. Toż to już brzmi jak herezja! Po co dziecku takie wiedzy? Przecież każdy normalny człowiek wie, że rzeczy spadają, bo są ciężkie, a ciężkie dlatego, że Pan Bóg tak wymyślił. I kropka.

Chemia? Jeszcze gorzej. Na chemii dziecko dowiaduje się, że świat nie jest prosty i jednolity, tylko składa się z jakichś atomów, protonów, kwarków. A ja pytam: czy naprawdę trzeba dziecku psuć życie takim skomplikowaniem? Kiedyś człowiek miał tylko cztery żywioły: ogień, woda, powietrze, ziemia – i to mu wystarczało. A teraz nagle trzeba znać cały układ okresowy, żeby zaparzyć herbatę? Dość już tej nagonki na prosty rozum!



Rys. Sławomir Łuczyński

I tak przechodzimy do historii. Niby niewinna, a jednak pełna min. Bo jak tu żyć, kiedy dziecko wraca ze szkoły i mówi, że Polska nie zawsze była mocarstwem, że mieliśmy jakieś rozbiory, przegrane bitwy, zdrady, alianse... Przecież to jawna zdrada narodu! Historia powinna uczyć tylko o zwycięstwach, i to najlepiej w kolejności: Chrobry, Sobieski, Lewandowski. Reszta jest zbędna.

A geografia? Tu dopiero widać rękę globalistów. Mapa świata, a na niej kontynenty, morza, oceany – wszystko jakby równe, a przecież wiadomo, że najważniejsze miejsce na globie to Polska, centrum wszechświata. Po co dziecku wiedza o jakiejś Brazylii, Australii czy Ugandzie? I tak w życiu tam nie pojedzie, bo taniej wysłać je na kolonie do Ciechocinka.

Nawet język polski nie jest bezpieczny. Literatura – a w niej ludzie o innych poglądach niż my. Poeci, którzy ośmielili się wątpić, pisarze, którzy opisywali nędzę, grzechy i słabości. Kto to widział, by pokazywać dziecku Mickiewicza, który wyraźnie sympatyzował z Litwą! A taki Gombrowicz to już czyste bezeczeństwo. Proponuję więc zamiast polskiej literatury wprowadzić szkolne czytanki z Facebooka – same komentarze „super, brawo Ty” i „ślicznie wyglądasz” pod zdjęciami. Zdrowe, proste, pozbawione dwuznaczności.

A co z wychowaniem fizycznym? Tu dopiero grozi tragedia! Bieganie, skakanie, pot, zadyszka – to wszystko szkodzi. Po co się męczyć, skoro można spokojnie posiedzieć w domu z chipsami i colą, ćwicząc kciuki na pilocie do telewizora? W końcu zdrowy styl życia to wymysł spisku producentów brokułów i rowerów. Nie damy się nabrać.

No i jeszcze informatyka. Ktoś powie: „To przecież potrzebne, w końcu żyjemy w erze komputerów”. Ale nie dajmy się zwieść. Informatyka to wrota do zguby – od pierwszego kliknięcia w Worda do hakowania Pentagonu już tylko jeden krok. A w dodatku dzieci uczą się tam angielskich słówek: „print screen”, „browser”, „cookies”. Angielski! Kolejna furtka do deprawacji. Niech lepiej uczą się, jak wysłać gołębia pocztowego, to przynajmniej patriotyczne.

I tak krok po kroku, wypisując dzieci z kolejnych przedmiotów, stworzymy idealną szkołę. Szkołę bez wiedzy. Szkołę, w której dziecko spokojnie będzie siedzieć i ćwiczyć kaligrafię krzyżyka. A w przerwach może kolorować rysunki świętych – o, to będzie prawdziwie wychowawcze.

Niektórzy marudzą, że to absurd. Ale ja pytam: czyż nie jest to najwyższa forma miłości rodzicielskiej? Chronić dziecko przed światem, faktami, wiedzą. Pozwolić mu dorosnąć w bezpiecznej bańce, w której jedynym zagrożeniem jest krzywo zawiązana sznurówka. A kiedy wyjdzie w dorosłość i ktoś go zapyta o pierwiastek kwadratowy, niech odpowie: „Nie wiem i jestem z tego dumny!”. Bo przecież niewiedza daje szczęście, a szczęście to najwyższa wartość.

Dlatego apeluję: wypisujemy, skreślamy, wymazujemy. Niech szkoła stanie się miejscem spokojnym, wolnym od wiedzy. W trosce o zdrową głupotę naszych dzieci, no i oczywiście naszą...



Andrzej Dębowski

Zmarł Andrzej Grabowski – pisarz i działacz kultury

Odszedł **Andrzej Grabowski**, znany także pod literackim pseudonimem John Vern – poeta, prozaik, autor książek dla dzieci i młodzieży, animator życia kulturalnego i wieloletni współpracownik *Gazety Kulturalnej*. Zmarł 3 września 2025 roku, sześć dni przed swoimi 78. urodzinami. Urodził się 9 września 1947 roku we Wrocławiu, w powojennym mieście pełnym sprzeczności, w którym zdezystały się ślady dawnej historii z nowymi początkami. To doświadczenie wczesnych lat – życia na styku pamięci i odradzającej się rzeczywistości – nie pozostało bez wpływu na jego późniejszą twórczość.

W młodości trafił do Krakowa, gdzie ukończył Studium Kulturalno-Oświatowe. Było to środowisko bogate w tradycję, pełne inspiracji i spotkań z ludźmi sztuki. Właśnie tam dojrzewał literacko i tam też stawiał pierwsze kroki jako poeta. Jego debiut nastąpił w 1971 roku na łamach *Gazety Krakowskiej*. Od tego momentu jego życie nierozdzielnie splecione zostało z literaturą. Od początku widać było, że jest poetą, który nie stara się epatować wielkimi słowami ani nie dąży do efektownych pów. Był raczej obserwatorem – uważnym, cierpliwym, potrafiącym dostrzec i zapisać to, co dla innych bywało niewidoczne.

Poezja Grabowskiego wyrastała z codzienności. Nie była monumentalna, ale właśnie przez to szczerza i bliska. W prostych obrazach potrafił zamknąć emocje, refleksje nad losem człowieka, nad tym, co przemija, a co pozostaje. Dla jednych był poetą intymnym, dla innych – realistą, który próbował nadać znaczenie najdrobniejszym gestom i chwilom. Jego wiersze – choć nie zdobywały szerokiej popularności – pozostawały ważne dla tych, którzy potrafili w nich odnaleźć własne doświadczenia.

Równolegle do twórczości poetyckiej rozwijała się jego działalność jako autora prozy, a przede wszystkim jako pisarza dla dzieci i młodzieży. To właśnie ta część jego dorobku przyniosła mu szczególną sympatię czytelników i zapewniła miejsce w historii literatury dla najmłodszych. Grabowski potrafił pisać tak, by być blisko świata dzieci – nie z góry, nie z pozycji dorosłego nauczyciela, lecz jako ktoś, kto rozumie dziecięce emocje, marzenia i obawy. Jego książki były pełne humoru, ciepła i fantazji, a jednocześnie nie unikały tematów trudniejszych, podsuwając młodym czytelnikom mądre refleksje. Dzięki temu jego opowieści zyskiwały trwałe miejsce w polskich bibliotekach, a on sam został odznaczony Orderem Uśmiechu – wyróżnieniem wyjątkowym, bo przyznawanym dorosłym przez dzieci.

Order Uśmiechu, z którym tak się utożsamiał, był nie tylko nagrodą, ale też dowodem

na to, że to, co robił, miało sens. Dzieci czuły w jego tekstach prawdę, szczerść i autentyczną troskę. Sam wielokrotnie podkreślał, że pisanie dla najmłodszych to nie tylko praca, ale przede wszystkim odpowiedzialność – bo każde słowo może kształtować ich sposób patrzenia na świat. Był przekonany, że literatura dziecięca nie może być tworzona w pośpiechu i byle jak, że powinna dawać radość, ale także uczyć i otwierać drzwi do dalszych poszukiwań.

Andrzej Grabowski nie ograniczał się jednak wyłącznie do pracy pisarskiej. Był również animatorem kultury, organizatorem wydarzeń literackich i spotkań autorskich. To właśnie on stworzył i przez lata rozwijał Międzynarodowe Jesienie Literackie Pogórza – imprezę, która stała się miejscem spotkań poetów, prozaików i czytelników z różnych stron kraju, a także z zagranicy. Jesienie Literackie miały w sobie coś więcej niż tylko wymiar artystyczny – były także okazją do tworzenia wspólnoty, w której słowo stawało się mostem łączącym ludzi o różnych doświadczeniach i wrażliwościach. Grabowski wierzył, że literatura nie powinna być zamknięta w salonach wielkich miast, ale że powinna docierać wszędzie tam, gdzie ludzie potrzebują kontaktu z kulturą – do małych miasteczek, bibliotek, domów kultury.



Andrzejem Grabowskim w Domu Literatury
w Warszawie – 6 października 2005

Wiele lat współpracował również z *Gazetą Kulturalną*. Jego teksty były cenione za lekkość stylu i umiejętność łączenia refleksji literackiej z codziennym doświadczeniem. Potrafił pisać o książkach i autorach, ale też o drobnych sprawach, które w jego ujęciu nabierały kulturowego i humanistycznego wymiaru. Nie był krytykiem surowym ani zamkniętym w akademickim języku – pisał tak, by być zrozumiałym i bliskim każdemu, kto sięgnął po jego artykuł.

Ci, którzy go znali, wspominają go jako człowieka pogodnego, życzliwego i otwartego. Nie szukał rozgłosu ani wielkich

wyróżnień. Cenił raczej pracę cichą i konsekwentną, skupioną na tym, co naprawdę ważne – na słowie i na drugim człowieku. Nie był człowiekiem wielkich deklaracji, ale raczej działań. Wolał organizować spotkania, pisać, być obecnym wśród ludzi, niż mówić o własnych zasługach.

W prywatnych relacjach był ciepły i skromny. Umiał słuchać, nie przerywał, nie narzucał własnego zdania, raczej zachęcał do rozmowy. Współpracownicy i przyjaciele podkreślają, że miał w sobie naturalną potrzebę dzielenia się – słowem, myślą, doświadczeniem. Może właśnie dlatego tak dobrze odnajdywał się w pracy z dziećmi i młodzieżą, bo potrafił słuchać i dostrzegać to, co dla dorosłych bywa często niewidoczne.

Śmierć Andrzeja Grabowskiego to nie tylko odejście pisarza, ale też człowieka, który swoją obecnością potrafił budować mosty i wspólnoty. Pozostawił po sobie wiele książek, wierszy, tekstów publicystycznych i wspomnień, które wciąż będą żyć. Jego twórczość pozostaje w bibliotekach i na półkach, ale także w pamięci tych, którzy mieli szczęście go spotkać – na wieczorach autorskich, podczas Jesieni Literackich czy w codziennej rozmowie.

Andrzej Grabowski nie lubił wielkich słów na swój temat. Wolał, by mówiły za niego jego książki, wiersze, teksty i działania. I tak właśnie będzie – pamięć o nim przetrwa w jego twórczości, w uśmiechach dzieci, które czytały jego historie, w rozmowach z przyjaciółmi i we wspomnieniach, które pozostawił. Odszedł człowiek, który wierzył w moc słowa, a jego życie i praca były dowodem na to, że literatura ma sens, gdy służy innym i gdy otwiera przestrzeń do spotkania.

Andrzej Grabowski spoczął na cmentarzu w Piotrkowie Trybunalskim. Na jego pogrzebie były 23 osoby i tylko dwóch literatów – Kazimierz Burnat i ja. Smutne... Smutne, bo człowiek, który całe życie oddał słowu, dzieciom, literaturze i kulturze, odchodzi niemal w ciszy. Smutne, bo pamięć o pisarzu, którego książki dawały radość i uczyły kilku pokoleń, nie znalazła szerszego odzewu. To bolesne przypomnienie, że los twórców bywa samotny, a ich dorobek – choć żyje w czytelnikach – nie zawsze jest dostrzegany wtedy, gdy najbardziej potrzeba obecności i wspólnoty. Grabowski zasługiwał na większe pożegnanie, na obecność środowiska literackiego, któremu przez lata służył. Zostały książki, zostały wiersze, zostały wspomnienia – a przy jego grobie została cisza, która mówi więcej niż niejedno słowo.

Poezja jako rzecz pożądana

W obecnych czasach zachodzi wśród twórców i odbiorców sztuki potrzeba osobliwego kontaktu z nią. Ludzie chcą mieć wyłączne źródło jej posiadania i obcowania z nią. O tej sytuacji literackiej traktuje najnowszy tomik krakowskiego poety **Andrzej Krzysztof Torbusa**, dobrze znanego twórcy w środowisku tworzenia i recepcji kultury. Autor demonstruje tę postawę ideową w niedawno wydany tomiku – pt. „Biuro rzeczy nieznalesionych”, gdzie przedstawia z własnej perspektywy tę sytuację zarówno twórców jak i odbiorców. Utwory Torbusa zarówno te dla dorosłych, ale dzieci, mają szereg ciekawych realizacji i właściwie każde pokolenie interpreterów nadaje im nowy sens. Dlatego można powiedzieć, że ten krakowski autor ciągle żyje wśród nas.

Świat i ludzie wydają się być ciągle tacy sami, choć naprawdę tak nie jest – nawet prawie takie same zachowania są odmienne, bo najczęściej dzieli je różnica czasowa i mogą wywoływać zgoła odmienne wydzźwięki. A dlaczego tak jest, autor wyjaśnia: (...) *I choć pytało o to wielu / nikt odpowiedzi nie usłyszał. / Może pytania wpadły w czelusć / gdzie mieszka tylko wieczna cisza.*

Przeglądając się porom roku, poeta trafnie zauważa, że (...) *Później jej godny pogrzeb wyprawi dozorca / wrzucając sprawnie trupa do kosza na śmieci. / Z podziwem ją opiszą miejscowi poeci, / że taka była dzielna i mężna do końca.*

Przeważają doświadczenie miłosne z koleżanką-poetką, Torbus jest tu pełen uznania dla tej wygody transportowej. Równie absurdalna jest dla niego miłość rodzinna, której istota zazwyczaj tkwi w najnowszej technologii konsumpcji i defekacji. Równie absurdalna jest miłość w różnych formach komunikacji językowej, który finał jest zazwyczaj podobny, czyli rozstanie.

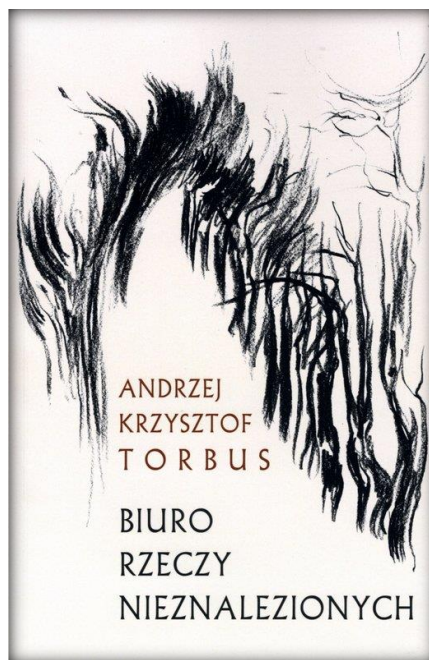
Także przyciąga uwagę poety współpraca ludzi z karaluchami, pomiędzy którymi toczona są „finezyjne pojedynki”. Zaś w mieszkaniu pokoju sączy się miłość na niby. Zbiorowe nawyki ludzi, najczęściej bezrefleksyjne prowadzą ludzi pod adres, który znają tylko obłąkani – pewnie wędrownicy, bo istotą życia jest właśnie wędrowanie. Trafnie zostaje tu przypomniany okres tzw. „dobrobytu PRL-u” i przekonanie, że nie powtórzy się okres tzw. „błędów i wypatrzeni”, choć jego echa ciągle i dzisiaj do nas docierają. Torbus ciągle chodzi po ulicy, przy której mieszka, nastroszony nostalgicznie, choć (...) *w sklepach remont w oknach – cisza.* Przyczyną wydaj się być tu kult wspomnień, które podpowiadają, że przeszłość była ciekawsza niż teraźniejszość.

Tę część tomiku zwiera utwór pt. „Poezjo czy to ty?”, w którym Torbus jako wierny sługa tej muzy oznajmia, że idzie umierać, co znaczy, że przypomni poetów, którym towarzyszył za ich życia, by teraz przywołać ich do bytu.

Do tej grupy należą głównie autorzy z Małopolski: Agata Konstanty, Wojtek Bellon, Andrzej Babiński, Alek Rozenfeld, Marian Czepiec, Wioli i Marek Cichoniów i Jerzy Świrczyński. Klimaty tych utworów zadedykowanych ich pamięci obracają się wokół fantazjom związanym z poznawaniem i wędrowkach po górach, chęci dotykania nieba, ale i obcowania z Nicością. Tu miesza się poetyka dostanie życia poety, o które jest mu bardzo ciężko i tajemnic tzw. „wiecznych ksiąg”, które mogą dać wiedzę absolutną, do której człowiek dąży i nieustannie upada pod jej ciężarem.

Ta książka, a nawet praca meta-poetycka, warta jest wielokrotnej lektury i refleksji, szczególnie we współczesnym świecie, który ciągle staje na głowie, by zrozumieć własne fundamenty.

prof. Ignacy S. Fiut



Andrzej Krzysztof Torbus, *Biuro rzeczy nieznalesionych*. Redakcja: Autor. Projekt okładki i rysunki: Janusz Jutrzenka Trzebiatowski. Przygotowanie do druku: Artur Koziół. Wydawca: Stowarzyszenie Artystyczno-Literackie, Kraków 2024, s. 40.

Duchowa głębia istnienia

Elżbieta Musiał jest w kraju czołową twórczynią poematów, bo i też tę formę wypowiedzi lirycznej sobie upodobała i w niej czuje się znakomicie. Od roku 2008, kiedy ukazał się jej pierwszy poemat, tak i po dziś dzień poetka skupia się i tworzy głównie ten

gatunek z pogranicza epiki i liryki. To, że radzi sobie świetnie dowodzą liczne nagrody literackie przyznane jej właśnie za poematy, jak *Na zdjęciu wciąż żyjemy* z 2012 roku czy *Mówię pochylona cambrią* z 2015 roku. W roku 2025 ukazał się ósmy poemat Elżbiety Musiał zatytułowany *Totum*, który jest zarazem jej piętnastą książką.

O ile w poprzednich poematach pisarka obierała za temat życie wielkich artystów, będących w bliskich relacjach partnerskich, jak Dora Maar i Pablo Picasso, Frida Kahlo i Diego Rivera, Kamille Claudel i August Rodin, czy Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński, to najnowszy zbiór dziewięciu poematów dotyczy już spraw zupełnie innych, ukierunkowanych na osobiste przemyślenia pisarki, najogólniej mówiąc – całkowitym problemie ludzkiej egzystencji. Wyraz totum, którym Musiał nazwała swój zbiorek, w języku łacińskim oznacza „całość” lub „wszystko” i on jest środkiem do dalszych artystycznych poszukiwań i rozważań pisarki. Otwierający tom poemat zatytułowany „Temet nosce”, tym razem w języku greckim odnosi się do „poznawania samego siebie”, jest tutaj hasłem naczelnym, które przyświeca autorce *Totum*. Starożytny aforyzm spopularyzował Sokrates, a pochodzi on z delfickich maksym, które widniały niegdyś u wejścia do świątyni Apollona w Delfach, wzywając niejako wchodzących do niej do zastanowienia się nad własnym wnętrzem i poznania własnych ograniczeń.

Poemat „Temet nosce” zaczyna się od słów: „Oto JA. Myśl mnie złowiła – więc jestem”. Podmiot od samego początku mówi na kim będzie skupiał swoje przemyślenia i wokół kogo będzie kręcił się liryczny świat, w każdym jego wymiarze – fizycznym, duchowym i psychicznym. Zadaniem podmiotu jest „uświadomić co nieuświadomione”, zaczyna się więc od rozważań umysłowych:

(...) *Ach gdyby nie JA –
myśl byłaby co najwyżej chmurą umykającą
albo jaskółką pierwszą, która wiosny nie czyni.*

Ciało zaś jako materia i fizyczność podmiot określa jako realną formę zdolną do dokonywania uczynków, trwania w ruchu, mogącą widzieć, mówić i odczuwać:

*Płynąc – ucieleśniam. Jestem uczynkiem
najdrobniejszym z drobnych i słowem,
i zobaczeniem. Jestem wczoraj dziś i jutro.
(...)
Dziękuję ci łupino doczesna
dziękuję szczerą lubieżny.*

Motywy wędrowki odnajdujemy w owym „płynięciu” – choć podmiot nie wie po co ma płynąć, to sens istnienia tkwi w samym płynięciu, ziemskiej peregrynacji. To pielgrzymka w poszukiwaniu siebie, sensu trwania i głębi egzystencji. Ma w tym pomóc ciało, które poetka rozkłada na czynniki pierwsze – biologiczne, astralne, ezoteryczne, a pomagając ma w tym jaźń, umysł, świadomość, nadświadomość, sny i marzenia.

(Dokończenie na stronie 18)

Duchowa głębia istnienia

(Dokończenie ze strony 17)

Mówiąc: „Oto JA” wprowadza ruch, wystarczyć bowiem być, aby życie i świat zaczął się „dziać”. Podmiot składa też dziękczynienie za ciało biologiczne i duszę, którą nazywa „esencją wielkoduszną”, dziękuje też sobie za siebie, za swoje jestestwo.

W poemacie „Kamień” wskazuje na kolejny atrybut wędrowania, tym razem kosmicznego, kiedy kamienie lewitują w przestworzach i spadają na ziemię. Potem są obecne tutaj po wsze czasy, zachowując milczenie, do którego – jak mówi podmiot – kamień się urodził. Kamień jest martwy i jednocześnie żywy, jak w paradoksie Schrödingera. Nikt nie zna wieku kamienia, czy to leżącego na rozdrożu, czy tego, z którego wznosi się domy, kościoły, a wtedy zaczyna się je ożywiać. Kamienie są odłamywane, by służyć działaniom człowieka. Poetka wymienia też ich cały sztafaż, frazeologiczny ciąg kamieni pudowych, węglanych, miłowych i kamyków szczęścia, dowodząc, że są one ściśle powiązane z ludzkim bytowaniem.

Trzeci poemat to „Woda” – żywioł, bez którego życie nie może istnieć. Wodę podmiot nazywa labilnym bóstwem, z którego rodzą się strumyki, rzeki i morza. Przywołuje te najważniejsze w mitologii – rzeki Hadesu i Heraklitowe „panta rhei”, przypominające, że wszystko przemija, nawet wody. Rzece wspomina podmiot „pięte Achillesową”, którą stanowi woda:

(...) Tym razem
w jej szkielet nie napłyną inne wody – tylko ten cień,
tylko cień wody.

Podmiot mówi do wody: „Umykasz między palcami niby CZAS”, wskazując na to, co nieuchronnie musi przeminąć, po rzekach zostanie koryto, przeminie nurt i ujawnią się kamienie na jej dnie, które kiedyś wrzucono do wody. Stąd nazywa też wodę „zadziwiająco formułą płynności”, gdyż wszystko się upłynnia, podobnie jak życie człowieka, po którym, podmiot parafrazując Leopolda Staffa, mówi:

(...) A po nas zostaną
jedynie ślady na piasku i kręgi po wodzie.

Kolejny poemat to „Przestrzeń”, która jawi się jako względna i niezawodna, „przenikliwa a nieprzenikniona”. Posiada ona w sobie „własną obecność”, ale też kryje nicność, czyli „TO COŚ”, co „przepełnia pustką”. Idzie tu bowiem nie tylko o przestrzeń dookolną, ale też kosmiczną, która jest absolutną geometrią i trwa w przestworzach jak „nieśmiertelny EON”, stąd podmiot zwraca się do przestrzeni w apostrofie:

O gnozo, o przestrzeni, wy sobą będące,
nasycone sobą.

„Pamięć” to następny poemat, do której poetka przemawia w formie inwokacji. Nazywa ją nieodgadnioną, emanacją pragnień, zwątpień i zdarzeń, która „jawi się hologramem”, a kiedy pamięć zaczyna zanikać, to trzeba ją koloryzować, aby ocalić mglisty obraz wspomnień:

O, pamięci niezaspokojona
projekcja zachłyśnięta sobą!

W poemacie „Myśl” poetka porusza problem związany z umysłem, logicznym rozumowaniem, wyobraźnią, abstrakcją, myśleniem kwantowym i kartezyjską kategoryzacją istnienia. Mówi o niej „monado w przestworzach”, nazywa ją „uzurpatorką głębi”, określa ją substancją sztuki transmutacji, dlatego powie:

Niby jesteś bez precedensu,
między czuciem, wiarą, szkiełkiem i okiem.

„Anima”, czyli dusza to kolejny poetycki dyemat, który zajmuje Elżbietę Musiał. W zderzeniu ze światem realnym, nauką i logiką bywa zwykle pomijana lub przemilczana.

Oto ONA półgębkiem, połykana niczym garść wstydu.

Pomyłka więc bezsłownie, omyłka bezgłośnie.

Byłe ją pominąć, byłe jej nie wspominać. Podmiot uważa, że dusza, choć nietknięta ewolucją, mieści się w teorii rozwoju, stąd symbiozę dychotomii somatyczno-spirytystycznej admiruje i adoruje zarazem:

Istota świetlana! Esencjo tajemna
z widmem barwnym i kontinuum.
Mamy dziś obie jedno ciało,
jak duszę jedną obie.

Z duszą poetka wiąże też zagadnienia tożsamości człowieka i jego sumienia, które stanowiąc jedność z osobowością, mogą być zakorzenione w duchowości, podobnie jak nadjaźń czy intuicja. Kończąc poemat „Anima” podmiot przywołuje myśl i transponuje słowa Charlesa Baudelaire’a:

Ulotna więc najtrwalsza – paradoks kolejny.
Płyniemy (mówię do niej, a jednak do siebie).
Płyniemy, aby płynąć – jak prawdziwi wędrowcy,
choć nie wiemy czemu.

W tytułowym poemacie „Totum” jego autorka wrzuca doń niejako wszystkie atrybuty zmysłowe i humanistyczne fenomeny, które wiążą się z rozwojem duchowym, społecznym, etycznym i osobowościowym jednostki, a więc dotyczą całościowego procesu kształtowania się wzorców myślenia i postrzegania rzeczywistości. To tutaj wymienia podmiot choćby miłość, słowa i czas pisane wielkimi literami, postrzega je jako byty mistyczne i ponadczasowe, jako ulotne, fantazyjne miraż, pełne podziwu lustrzane widma i malarskie sfumato. Totum rozumiany jako idea ludzkiej egzystencji – wieiera się według podmiotu we frazie:

Lecz istota bytu tkwi w ciszy pomiędzy.
W ciszy uniesienia.

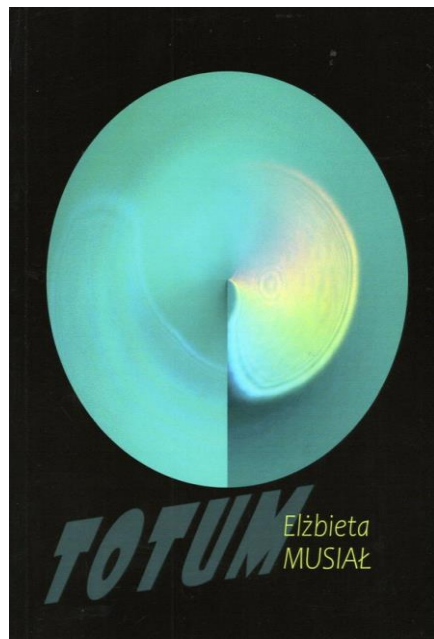
W zamykającym tomik poemacie „Liczba” podmiot odwołuje się do harmonijnego porządku w kosmosie. Zastanawia się, co było pierwsze u zarania świata – słowo czy liczba, doskonała w swojej istocie, a więc natchniona, boska i nieśmiertelna. Liczba to abstrakcyjny i przemożny klucz do wszechświata, algorytm do zrozumienia kształtu galaktyk, jest ona postrzegana jako natchniony boską iskrą duchowy ład i zasada odwiecznego bytu:

Bez pomyłek stwarza dzieła doskonałe.
Ale czy bytem jest, czy zasadą bytu
ta LICZBA ożywiona DUCHEM?
Która mentalnym i eterycznym.
Która i jednym, i drugim.

Stefan Jurkowski na rewersie okładki książki *Totum* napisał: „(...) te wersy stają się medytacją, zachęcają do spojrzenia w głąb siebie i uważnego zatrzymania, by «uświadomić co nieuświadomione» (...) Mamy tu swoisty «strumień świadomości», ale też żywy (i życzyliwy) dialog z elementami rzeczywistości, które niejako przenikają się z podmiotem lirycznym”. Dialog ów trwa na niwie poetycko-filozoficznej, to w nim przywołuje Musiał cytaty z K. K. Baczyńskiego, B. Leśmiana, L. Staffa, W. Szymborskiej i E. Stachury, ale też teorie Platona, Sokratesa, Heraklita z Efezu i Kartezjusza.

Poetyckie frazy w połączeniu z barwnymi, transowo-wizyjnymi grafikami autorki stanowią wzajemnie uzupełniającą się jedność i korelującą całość. Tomik *Totum* to liryczna, porywająca intelektualno-metafizyczna podróż przez osobisty i nader intymny świat myśli, odczuć, przeczuć i wyobrażeń autorki, stanowi refleksyjną sumę nad istotą człowieczeństwa i sensem jego żywota.

Robert Rudiak



Elżbieta Musiał, *Totum*. Poemat. Projekt graficzny, projekt okładki i grafiki: Elżbieta Musiał. Nakład autorski, bez miejsca wydania. 2025, s. 56.

Janusz Orlikowski

Mój Dajmonion po raz drugi

Obmyślam świat, wydanie drugie, / wydanie drugie, poprawione, pisze Wisława Szymborska w wierszu „Obmyślam świat”. Czy faktycznie idiotom na śmiech, / melancholikom na płacz, / łysym na grzebień, / psom na buty. Tego nie wiem, lecz chęć spojrzenia na pewne przemyślenia, czy nawet decyzje zawarte w eseju „Mój dajmonion” z książki „Gwałt na prawdzie” kusi mnie. Może warto przyjrzeć się zagadnieniu po raz drugi? Czy treści tam pomieszczone są tym wszystkim, co bym chciał na ten temat powiedzieć? A może są tam wypowiedzi, które wymagają weryfikacji?

Czytając po kilkunastu latach ten esej zauważyłem, że wiara wciąż tam kojarzyła mi się z dogmatem, z katechizmem, którym przeciwstawiłem swoje przekonanie o istnieniu Boga. Ujmując inaczej: zamiast słowa wiara wolałem słówko – przekonanie, gdyż ono, uważałem, uwalnia mnie od tego co niesie ze sobą dogmat, a dalej katechizm. Miałem przekonanie o tym, iż Bóg istnieje. I owo dokumentowałem poprzez istnienie własnego dajmoniona oraz ujęcie Tego Głosu przez Czesława Miłosza, czy Zbigniewa Herberta jako potwierdzenie własnych intuicji i – przekonań, którzy, choć w szczegółach inaczej, dzielili się w swej twórczości podobnymi faktami. Dziś już nie muszę. Dziś dla mnie tamto przekonanie i obecna wiara, po zgłębieniu historii Kościoła, a w tym owych dogmatów i katechizmów, jest tym samym. Niby zwykły zabieg leksykalny, ale dla mnie niezwykle istotny.

Jest więc mój dajmonion, który się pojawia i mówi, że jest obecny. Ot nagle wiem, że to on. Nic niezwykłego, choć niezwykle z pewnością. Ten Głos, który znany jest odkąd dzieje się człowiek.

W piśmie jako pierwszy zauważa Go Sokrates. W „Obronie Sokratesa” Platon cytuje takie jego słowa: *To u mnie tak już od chłopięcych lat: głos jakiś się odzywa. A dalej czytamy: Głos ilekroć się zjawia, zawsze mi coś odradza, cokolwiek bym przedsiębrał, a nie doradza mi nigdy.*

Dwie myśli. Po pierwsze: Bóg był zawsze, bo pomimo że czasy Sokratesa to okres pogański w naszej kulturze, a więc czas religii politeistycznej, to Pierwszy Filozof mówi o jednym głosie, a nie głosach wielu bóstw. We wspomnianej „Obronie Sokratesa” odpowiada na zarzut nieuznawania bogów państwowych stwierdzając, że skoro wierzy w dajmoniona musi wierzyć i w innych bogów. Wybieg, który jednak odpierał zarzut. Po drugie: już wtedy, poprzez Pierwszego Filozofa właśnie, człowiek wiedział o tym, że ma wolną wolę. Głos nauczyciela Platona niczego nie doradzał, a tylko proponował tamę temu, co było złe. Pisz wymaluj mit o Adamie i Ewie. Bóg odradza (tam, by było jak

najbardziej jaskrawo widoczne – zakazuje) spożywania owocu z określonego drzewa. Człowiek jako istota wolna ma całkowitą autonomię w kwestii podejmowania wyborów. Tylko czy słucha? Ale to już temat na osobny esej.

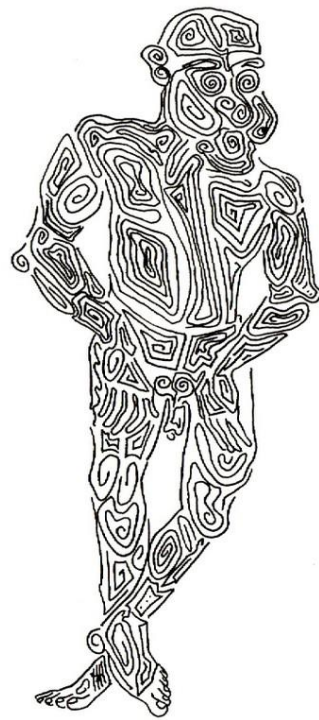
Mój dajmonion. Temat wymaga pewnego uszczegółowienia. Zwracając uwagę dwie opcje. Pierwsza z nich mówi o głosie wewnętrznym, bardziej popularna dzisiaj, druga natomiast o tym, że ów głos pochodzi z zewnątrz. Sokrates nie ujawnia o jaki rodzaj głosu tu chodzi. Chyba nie było tego w jego świadomości. Już fenomenem był sam ten Głos. W eseju „Mój dajmonion”, gdy piszę o postrzeganiu dajmoniona przez Miłosza i Herberta zwracam uwagę na to, że ten pierwszy widzi go bardziej z zewnątrz, dla drugiego jest to głos wewnętrzny. Z tym związany jest inny sposób postrzegania raj. Zainteresowanych odsyłam do eseju. Co do mnie? Bez wątplenia jest to głos z zewnątrz, tak jak istotą zewnętrzną wobec człowieka jest Bóg. Nie mówię tym samym, że postrzeganie dajmoniona jako wewnętrznego głosu jest nie na miejscu, czy czymś złym. Może to kwestia indywidualnego podejścia i predyspozycji psychicznych? Tego nie wiem. Ważniejszym zagadnieniem wydają mi się być kwestia inna.

Z języka greckiego Daimon to Bóg, bóstwo, jego głos, sumienie, ostrzegawczy głos wewnętrzny, ale również demon, a więc szatan, czyli zło. Na to zwraca uwagę właśnie Miłosz, a nie bez kozery pojawia się on w postaci węża u Adama i Ewy. Może właśnie dlatego dziś bardziej widzi się Ten Głos jako głos wewnętrzny żywiąc przekonanie o wewnętrznym dobru człowieka? Idea jak najbardziej chlubna, tylko czy prawdziwa? Mam co do tego coraz więcej wątpliwości. Wojna Hamasu z Izraelem, czy na Ukrainie coraz bardziej przekonują mnie o tym, że dajmonion bywa także szatanem. A zatem jest on nie wewnętrznym głosem człowieka (chyba, że założymy, iż człowiek z natury jest zły) lecz właśnie pochodzi on z zewnątrz. W moim przekonaniu są to dwa odrębne głosy, które bywa, bardzo trudno od siebie odróżnić, a które walczą o priorytet. Jest dajmonion jako głos Boga i jest jako podszept szatana. Chodzi o to, by „wiedzieć” który jest który.

Uważam, że cała rzecz dzieje się w umiejętności mądrej pokory. Przypomina mi się przypowieść znana z ewangelii Marka i Mateusza o poganice rodem z Syrofenicji proszącej Jezusa o wypędzenie demona z jej córki. Ten mówi, że nie jest czymś dobrym zabierać chleb dzieciom i rzucać szczeniętom. Na co ona odpowiada, że się z tym zgadza, lecz szczenięta jedzą chleb, który spadnie ze stołów ich panów. Jezus po tych słowach uzdrawia jej córkę. Wybieg mądrej pokory

okazał się zbawienny. Tego rodzaju postawa czasem potrzebna jest w odróżnieniu tego, czy mamy do czynienia z głosem dobrego dajmoniona, czy też jest to podszept szatana. Gdy mamy w sobie potencjalnie, by tak rzec, odpowiednią ilość pokory Ten Głos jest głosem naszego dajmoniona, Boga. Powiem też tak: są w nas symptomy, które mówią – czynię dobrze i takie wskazujące inaczej. Te drugie z natury są bardziej niespokojne, jakby chciały zająć miejsce, bardziej – domagające się. Chętnie po wątpliwościach następczą kolejne. Natomiast te pierwsze zawsze są spokojniejsze, czy wręcz spokojne, jakby im nie bardzo zależało – chcesz to fajnie, nie to twoja wola. Będzie mi smutno może „pomyśli” Bóg. Istotą jest, że: dobry dajmonion wykazuje się zawsze taką samą mądrością pokory, na którą cię stać, a jest zawsze po stronie twojej wolnej woli.

Ideą Boga, gdy w zamyśle miał pojawienie się człowieka, był raj. Raj, który miał być domem spokoju i radości. Miał i ma przeciwnika w postaci szatana, którego działania są zawsze w jakiś sposób agresywne, emocjami niepokoją, mówią że są przeciw nudzie, ale to nie jest prawda. Obmyślam więc świat po raz drugi, jak pisała Szymborska. I może być „idiotom na śmiech, / melancholikom na płacz, / łysym na grzebień, / psom na buty. Czemu nie?



Rys. Barbara Medajska

Piasek, tylko piasek...

(Dokończenie ze strony 11)

Pustynia, w założeniu, miała zapewnić, a przynajmniej temu sprzyjać, prowadzenie życia z dala od ludzkich zbiorowości. Szybko okazało się, że o samotności nie zawsze można było mówić. Przykład dawany przez św. Antoniego (250 lub 252-356), zwanego także Ojcem Wszystkich Mnichów sprawił, że na pustyniach egipskich, zwłaszcza w sąsiedztwie miejsc, gdzie akurat żył ów święty, przebywały tysiące mnichów i mniszek. Miał więc powody św. Atanazy Aleksandryjski (ok. 297-373), aby napisać, że „pustynia stała się miastem”.

Dla Ojców Pustyni pustynie były nie tylko miejscem, na którym wędli życie. Były bowiem także źródłem przemyśleń. A to, choćby, dlatego, że na pustyni, a konkretnie na Pustyni Judyckiej (jest ona przede wszystkim kamienista, ale stanie się piaszczystą za miliony lat, więc... niedługo) Jezus Chrystus przebywał przez 40 dni. Pościł wówczas, dywagował nad wyborem drogi (dziwne: Bóg, który zastanawia się; Bogowie greccy nie zastanawiali się), następnie przygotowywał się do pójścia tą wybraną (wybraną?). Ta zaś nieodwołalnie miała doprowadzić go do męki i śmierci. Na tej pustyni był też dwukrotnie kuszony przez Szatana. Z tych prób, tak jak i z tej trzeciej, mającej miejsce w Jerozolimie, wyszedł obronną ręką. Inaczej jednak być nie mogło: Ktoś kto jest Bogiem skuszonym być przecież nie może. Na dodatek istniał konkretny plan, który czegoś takiego nie uwzględniał.

Do powyższych kwestii odnosi się poruszający w swej treści obraz (1872) Iwana Kramskoją „Chrystus na pustyni”. Tak, jest to poruszający obraz...

Dla Ojców Pustyni, jak i dla tych, dla których byli oni wzorem, pustynia, także ze wspomnianych względów, była idealnym miejscem do życia zgodnego z przykazaniami Jezusa, urzeczywistniania ich. Nie bez powodu wywarli oni istotny i trwały wpływ na życie monastyczne w późniejszych wiekach. I będą go wywierali do pomy, do póki ludzie będą chcieli wieść życie tego rodzaju.

Thomas Merton w Myślach w samotności odnotował i taką interesującą „piaskową” myśl:

„Ojcowie pustyni wierzyli, że pustynia ma w oczach Boga nadzwyczajną wartość dla ludzi. Ziemia jałowa nigdy nie mogła ulec zniszczeniu przez ludzi, ponieważ nic im nie dawała. Nie było tu nic, co by ich pociągało. Nie było nic, co nadawałoby się do eksploatacji”.

Od przeszło wieku to się jednak zmieniło: pustynia, oczywiście nie każda (wkrótce pewnie każda), nabrała wartości za sprawą umieszczenia pod jej piaskami i jeszcze głębiej, złóż ropy naftowej i gazu ziemnego. A i innych bogactw naturalnych nie brakuje.

Cezary Wodźński, który najprawdopodobniej pustyni nigdy nie widział – podobnie jak ja – wspomagany licznymi lekturami, w Przechadzach po ogrodach napisał o pustyni „jako pierwszej transformacji nicości. Pustyni jako bezbarwnego tła, na którym dopiero pojawiać się mogą barwy życia. Dlatego ogród [nie tylko ten będący Edenem] – negacja pustyni – będzie zawsze nosił jej ślady”.

Nie brakuje związków frazeologicznych z użyciem słowa „piasek”. Można wymienić choćby takie:

Budować coś na piasku «snuć nierealne plany, marzenia nie mające rzeczywistych podstaw» Δ chować, kryć głowę w piasek «nie chcieć dostrzegać zbliżającego się nieszczęścia, kłopotów, trosk; nie przeciwstawiać się im» Δ kręcić bicz(e) z piasku «usiłować robić coś z niczego, robić rzeczy niepotrzebne, nierealne» Δ mieć piasek w oczach «odczuwać pieczenie pod powiekami wskutek zmęczenia, niewyspania» Δ nasypać komuś piasku w oczy, rzucać komuś piaskiem w oczy «okłamywać kogoś, błagować» (Słownik języka polskiego; PWN, Warszawa 1979).

Mając na uwadze to, że synonimem piasku jest piach należy dodać jeszcze dwa wyrażenia:

Iść do piachu – umierać, posyłać do piachu – zabijać.

VI

Podsumowując to wszystko, co – z pomocą tak wielu – zapisałem powyżej, nie mam wątpliwości, co do sformułowania takiej oto konstatacji: morze piasku to pozór jałowości, pustki. Inaczej tego określić nie mogę. Do nazbyt wielu skłania mnie ono bowiem przemysleń. Z nicością byłoby zdecydowanie inaczej...

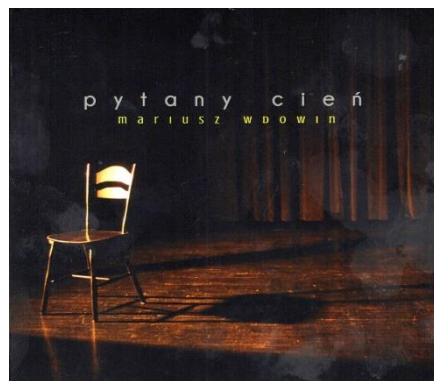
Dariusz Pawlicki

„Pytany cień” – muzyczna medytacja Mariusza Wdowina nad poezją Jana Tulika

Płyta *Pytany cień* Mariusza Wdowina do tekstów Jana Tulika jest dziełem szczególnym – nie tyle zwykłym albumem z poezją śpiewaną, ile medytacją nad słowem, ciszą i tym, co w wierszu ukryte pomiędzy

wersami. Wdowin stworzył muzykę do siedemnastu utworów, w większości opartych na sonetach z tomiku Tulika *Sonetów na użytek domowy*. Nagrania powstawały w jego krakowskim studiu w latach 2019-2025 i obejmują bogaty zestaw instrumentów: od gitary i wiolonczeli, przez cytrę węgierską, melodykę, lirę, po bębny ramowe i drobne perkusjonalia. Już sam dobór środków wskazuje, że mamy do czynienia z projektem, w którym każde brzmienie ma swoje miejsce i znaczenie, a przestrzeń między dźwiękami jest równie istotna jak same nuty.

Siłą tej płyty jest organiczny dialog między muzyką a słowem. Jan Tulik to poeta, który posługuje się m.in. klasyczną formą sonetu, ale wypełnia ją współczesną wrażliwością i otwartością na metafizyczne pytania. Jego język jest klarowny, lecz niesie w sobie cień, migotanie sensów. Tytułowy „pytany cień” wskazuje na napięcie między światłem i ciemnością, obecnością i brakiem, między tym, co dostępne zmysłom, a tym, co dopiero domaga się nazwania. Wiersze Tulika są pełne natury, obrazów przestrzeni, światła, pamięci i delikatnej melancholii. Nie jest to jednak smutek ostateczny, raczej uważna zaduma nad tym, co darowane, zabrane, obiecanie – nad tym, jak czas i doświadczenie przemieniają nasze spojrzenie na świat.



Wdowin umiał te sensy odczytać i przełożyć na język muzyki. Jego aranżacje są powściągliwe, zbudowane z dźwięków ciepłych, akustycznych, które nie przykrywają wierszy, lecz wydobywają ich napięcia. Gitara prowadzi narrację, wiolonczela dodaje głębi i cienia, cytra i melodyka przynoszą nutę miękkiego światła, bębny ramowe i delikatne perkusjonalia wprowadzają puls, który w odpowiednich miejscach wzmacnia dramatyzm tekstów. Produkcja jest staranna i pełna szacunku dla słowa – każdy wers jest wyraźny, żadna warstwa instrumentalna nie przytłacza głosu, a jednocześnie w tle rozgrywa się subtelna gra kolorów dźwiękowych.

Całość ma charakter podróży przez różne odcienie zadumy. Dominuje atmosfera spokoju, ale nie jest to monotony pejzaż. Niektóre utwory, jak „Opuszczony” czy „Udręczony”, wprowadzają ton bardziej dramatyczny, pozwalając, by perkusyjne akcenty i mocniejsze akordy gitary wyznaczały

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (228)



Fot. Andrzej Dębowski

Niektóre spośród małych liczebnie wyznań chrześcijańskich, powołując się na Dekalog, pozostają w zdecydowanej opozycji wobec wojen i udziału w nich. W Trzeciej Rzeszy Świadkowie Jehowy byli skazywani do obozów z uwagi na protest wobec wzięcia broni do ręki.

Fakt, że od zarania dziejów towarzyszą ludzkości wojny, nie może być traktowany jako dowód ich nieuchronności. Świat stwarzany przez człowieka zależy od świadomości i charakteru jednostek. Edukacja przeniknięta pacyfizmem – a nie jak dotąd kultem wojen – byłaby zdolna do zahamowania niskich instynktów człowieka, do nasycenia świadomości oporem wobec zabijania człowieka przez człowieka. Mam tu na myśli edukację zinstytucjonalizowaną, jak również całościową, która powinna oddziaływać także na sferę uczuć człowieka, na wyobraźnię i wrażliwość. Okres zimnej wojny charakteryzował się zaprzestaniem działań wojennych. Dziś nie toczą się wojny ani na terytorium USA (które nigdy do tego nie dopuściły), ani w Europie. Ale narody europejskie tworzą ludzkość na równi z narodami Azji i Afryki. A tam toczą się, nieustannie, działania wojenne.

Ruch pacyfistyczny jest podzielony co do metod wprowadzania trwałego pokoju. Ponadto rzecznicy tej idei są rozproszeni i pozbawieni takich środków finansowych, którymi dysponują koncerny produkujące broń. Nie mają też własnych mediów, które powinny zaszczepiać tę szlachetną ideę. Problem narasta, bowiem nie będzie przesadne następujące stwierdzenie: albo pokój, albo zagłada. Pacyfiści, to jest oczywiste, szerzą tolerancję i nie ma wątpliwości, że przeszkodą utrudniającą wprowadzenie powszechnego pokoju są niepokonane dwa niskie instynkty w człowieku: żądza dóbr materialnych oraz żądza władzy. To one także wywołują ekspansywne działania przedstawicieli niektórych wyznań religijnych dążących pod nazwą ekumenizmu do podporządkowania sobie wyznawców innej wiary. Słowa i działania papieża Franciszka są wyrazem świadomości tych zagrożeń.

Warto przypomnieć, że po drugiej wojnie światowej organizowane były konferencje pokojowe, a w tym słynny międzynarodowy kongres pokoju w latach czterdziestych ubiegłego wieku we Wrocławiu. Picasso narysował wtedy słynnego gołąbka pokoju. Ośrodkiem szerzącym pokój był Oświęcim, a przede wszystkim Stowarzyszenie PAX Bolesława Piaseckiego. Wielkie zasługi ma także dla szerzenia idei pokoju profesor medycyny, endokrynolog i zarazem filozof, Julian Aleksandrowicz. Uczony ten pisał, że pokój jest tym dla ludzkości, co zdrowie dla pojedynczego człowieka. Hasła pacyfistyczne w tym okresie krzewiła także kultura rockowa. Teksty piosenek, akcentując wartość istnienia, wyrażały negatywny stosunek do wojen. Trafnie podkreślały, że gdy ginie człowiek – każda idea, nawet najszlachetniejsza, traci sens.

Pacyfizm jest zespolony z uznaniem bezwzględnej wartości życia każdego człowieka. Ten pogląd rozwija obecnie w Polsce prof. Andrzej Bałandynowicz, twórca jedynej w Europie Katedry Pokoju i Probacji. Na tym stanowisku stoi także założone przeze mnie Pacyfistyczne Stowarzyszenie Wolnej Myśli. Niestety skupia niewielu członków. Pogląd ten podzielał wspomniany wcześniej prof. Julian Aleksandrowicz. Wyrażał niepokój spowodowany kolonizatorskim – jak to określał – stosunkiem człowieka do przyrody. Skoro fundamentalną wartością jest człowiek, a więc zarazem jego życie i zdrowie, wyjaśniał, że profilaktyka ma obejmować troskę o właściwe odżywianie, a więc o stosowne uprawianie roślin, o nasycenie ziemi odpowiednimi minerałami. Mózg człowieka ulega uszkodzeniu przez substancje toksyczne lub brak biopierwiastków. Wykazywał, że wskutek niszczenia środowiska naturalnego nastąpił wzrost chorób psychicznych, przestępstw oraz wzrost niedorozwoju intelektualnego. Wojny degradują ludzkość i naszą planetę, a każdy z nas jest częścią wszechświata. Powinno się, zdaniem Juliana Aleksandrowicza, rozwijać w procesach edukacji alterocentryczny egoizm.

Na rzecz pacyfizmu przemawia dodatkowo to, że narastają zagrożenia do rozwiązania których wojna nie jest przydatnym środkiem. Pierwsze z nich to terroryzm. Nie ma wątpliwości, że czołgi i bomby nie są skuteczne w jego wyrugowaniu. Zagrożeniem jest także perspektywa daleko posuniętej automatyzacji, inaczej robotyzacji. Inne zagrożenie, to traktowanie człowieka jako „zasobu” lub „kapitału ludzkiego”. Wiąże się z tym zakłamanie, bowiem deklaruje się godność człowieka i płynące z niej prawa. Bardzo poważne są zagrożenia ekologiczne, jak również upadek edukacji prowadzący do łatwego poddawania się procesom manipulacji. Wiąże się z tym niepokój, bowiem zagrożeniem jest oddziałująca wadliwa hierarchia wartości. Zagrożeniem także jest zależność polityków od wielkiego kapitału, przy czym jest ona wyrazem zgody polityków, ponieważ pieniądze pomagają wygrać wybory.

Interesujące, że teoria usprawiedliwiająca wojny ma genezę w poglądach św. Augustyna. Mimo przykazania „nie zabijaj”, filozof ten twierdzi, że wojny w obronie wiary i

ojczyzny są sprawiedliwe, inaczej słuszne. Jednocześnie nawiązujący do niego filozofowie chrześcijańscy podkreślają, że natura człowieka jest społeczna. Wydawałoby się, że tym samym człowiek nie jest zdolny do zabijania drugiego człowieka. Pogląd św. Augustyna przejęty został przez św. Tomasza z Akwinu, którego filozofia jest oficjalną nauką Kościoła rzymskokatolickiego.

Paradoks zawiera się w tym, że inspiratorem ruchów pacyfistycznych po drugiej wojnie światowej stał się Immanuel Kant, który twierdził, że człowiek ma naturę aspołeczną. Faktem jest, że w imię Boga niejednym wyznawcą którejś z religii dokonywał aktów przemocy. Nadal traktuje się wojny jako uprawnione narzędzie polityki państwa. W Polsce przez wiele wieków wojna była pojmowana jako zajęcie godne szlachcica. Wciąż wojna nie została uznana powszechnie za postać patologii. Protesty przeciwko zbrojeniom nuklearnym to za mało.

Błędem byłoby wiązanie pacyfizmu z określonym stanowiskiem filozoficznym. Pacyfizm wykracza poza kategorie dobra i zła, a jego uzasadnieniem jest uznanie bezwzględnej wartości życia człowieka. Tym samym pacyfistami mogą być zarówno osoby przyjmujące istnienie Boga, jak i ateści.

Pierwotni chrześcijanie głosili bezwzględną wartość pokoju. Ale w późniejszych wiekach pacyfizm doszedł do głosu w tych wyznaniach chrześcijańskich, które oceniono jako herezję. Wybiegając dalej, warto przypomnieć, że dr Ludwik Zamenhof, twórca języka esperanto, miał nadzieję, że język ten ułatwiając porozumienie narodów ze sobą, przyczyni się do utrwalenia tendencji pokojowych. Dzieła literackie o charakterze pacyfistycznym znacznie się wzmogły w wyniku pierwszej wojny światowej. Wymienię tu Jarosława Haskę, Bertolta Brechta, Ericha Marię Remarquea.

W średniowieczu, podobnie jak dziś, pojmowało się wojnę jako narzędzie ochrony pokoju. Do prowadzenia jej zobowiązywało chrześcijan sumienie, by podać przykład wojen krzyżowych, bądź prowadzonych przeciwko władcom dotkniętym klątwą kościelną. Wykluczono jedynie pewne rodzaje broni jak kusze; obecnie zakaz ten dotyczy broni atomowej.

Napisano w średniowieczu więcej dzieł o wojnie niż o pokoju. Obwarowywano wojny kontrolą o charakterze moralnym. Wiadomo, że zakony rycerskie, zgodnie ze składanym ślubowaniem, prowadziły wojnę z niewiernymi. Zwolennicy trwałego pokoju jak Tertulian, czy św. Franciszek z Asyżu nie byli słuchani. Szerzono ograniczone koncepcje pokoju, to znaczy ustalano na przykład tzw. pokój Boży na czas świąt religijnych oraz stały pokój w kościołach i na cmentarzach. Spod działań wojennych wyłączono w średniowieczu duchownych, rolników, kupców, kobiety, dzieci.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(73)

17 czerwca 2020

Wyjechałem busem ze Stalowej Woli o 5.45 i byłem w Rzeszowie o 7.05, a w szpitalu na Szopena o 7.30. Stawiłem się na oddziale urologicznym, czekając na lekarza. Nikt nie powiedział mi oczywiście, że muszę przejść całą procedurę przyjęcia i zacząć trzeba moją wizytę od izby przyjęć i wybrać stamtąd moją kartotekę, w której jest historia choroby. O 8.15 zszedłem na dół i stanąłem w małej już kolejce, bo wcześniej, gdy przechodziłem rano przez bramę, była dość długa. Na szczęście nie padało. Dość szybko dostałem moje dokumenty, a potem z nimi do łazienki, gdzie musiałem się przebrać i czekać, aż przyjdzie ktoś, kto nas, pacjentów, zaprowadzi po przebraniu się najpierw do zrobienia kardiogramu i zdania ubrań do magazynu, a potem na oddział. Trwało to wszystko około półtorej godziny, ale nie obyło się bez złośliwości. M.in. gdy siedzieliśmy w łazience już przebrani i nie wiemy, co dalej robić, przychodzi żołnierz, który ma nas rzekomo zaprowadzić na oddział i pyta, a co to kółko różańcowe? W końcu przyszła jakaś pani ubrana w cywilne ubranie i zaprowadziła na oddział. W drzwiach oddaliśmy pielęgniarce swoje papiery i nadal czekamy. Każdego chorego przywołują indywidualnie. Wreszcie przyszła kolejka na mnie. Po zważeniu i założeniu wenflonu kierują mnie do sali nr 3. Wypełniam na oddziale różne papiery i ankiety związane przed wszystkim z operacją i znieczuleniem, niezbędne dla anestezjologa, który osobiście odbiera dokumenty. Na sali jest 5 łóżek. Poprzednio – jak pamiętam – a leżałem na sąsiedniej, czwórce, było po 6. Domyślałem się, że to ze względu na pandemię i obostrzenia sanitarne. Potem przychodzi jeszcze jeden lekarz i poleca się przygotować do jutrzejszej operacji, zleca badanie grupy krwi i nakazuje wykąpać się i ogolić porost wokół genitaliów. Wykonanie poleceń lekarza sprawdza pielęgniarka oddziałowa. Na sali jest tylko 2 pacjentów: ja i jakiś młody człowiek, 25-letni, z Nowego Sącza. Nikt z nas nie ogląda telewizji, nie dyskutujemy też o polityce. Panuje błogi spokój. Mówię do pielęgniarki: „No teraz macie prawdziwy komfort pracy”. Odpowiada: „Nie chcemy tego komfortu i tęsknimy za normalnością, tak jak było dawniej”. Dzięki temu, że jest taki spokój, wyciągam z torby zaległą „Twórczość” i rozpoczynam lekturę. Najbardziej zainteresował mnie tekst wspomnieniowy Marka Sołtysika „Śliwiak (i ja)”, powraca w nim do pracy w redakcji „Życia Literackiego”, którego byłem przez wiele lat wiernym czytelnikiem, i wspomina swoich przyjaciół i znajomych. Głównym bohaterem

jest oczywiście Tadeusz Śliwiak. Dzięki temu pogłębiłem swoją wiedzę o krakowskim środowisku literackim lat 70. i 80. Towarzyszyły tej lekturze smutne refleksje. Pomyślałem sobie, a może i dobrze, że tam, w Krakowie, nie zostałem w młodości literatem. Myślę tu o moich marzeniach, jakie mi wtedy towarzyszyły, w konfrontacji z egzystencją, jaka mnie czekała. A czy Jerzy Pilch mówił co innego o swoich początkach? A inni? To samo.

18 czerwca 2020

Rano już wykąpany i przebrany w koszulę przenoszę się na salę przedoperacyjną, gdzie otrzymuję dożylnie jeszcze różne płyny w postaci kroplówek. Cukier spadł mi poniżej 90, trochę za mało, więc dają mi jeszcze insulinę. Jestem przecież od wieczora na głodówce. Zrobiono mi nawet lewatywę, aby w odbycie nie zostało nic kału. Podczas wizyty dowiaduję się, o której będę miał operację: w okolicach godziny 12.00. Faktycznie zabierają mnie o 11.45. Wszystko jest precyzyjnie wyliczone, każdy zabieg. Najpierw zajmują się mną anesteziolodzy, które ustawiają mnie na stole siedząc i jedna z nich wbija igłę w okolicach kręgosłupa i wstrzykuje środek znieczulający. Nogi zaczynają mi drętwieć a personel kobiecy układa mnie w pozycji leżącej. Zakładają mi też maseczkę tlenową na twarz. Za chwilę przychodzą urolodzy i zaczyna się operacja. Leżę spokojnie i rozmyślam jak zwykle o moim życiu i śmierci. Dochożą do mnie odgłosy rozmów operujących lekarzy. Nie staram się jednak niczego zrozumieć. Słyszę tylko, gdy jeden z nich mówi, że poprzednio zrobiono mi coś niefachowo. Po operacji, którą wykonał dr Pabiś, przywożą mnie z powrotem na salę przedoperacyjną, gdzie mam być aż do rana. Mocz z pęcherza spływa przez cewkę do plastikowego worka. Jestem podłączony też do monitora i dają mi kilka kroplówek. Ruchy mam skrępowane, ledwie mogę się odwrócić na bok. Muszę uważać, by czegoś nie zepsuć. I tak będzie trwać całą noc aż do rana. Wśród tych kabli i rurek udaje mi się jednak zasnąć. Jak długo nie wiem. O 6.00 zaczyna się pobudka. Na sali robi się ruch. Odłączają mnie od monitora, podobnie jak pozostałych pacjentów, i przewożą z łóżkiem, które jest na kółkach, na salę nr 3. Zaczyna się nowy dzień.

19 czerwca 2020

Po dzisiejszej wizycie już wiem na pewno, że nie wrócę do domu, choć przed operacją takie miałem jeszcze złudzenia. Zatem będę do poniedziałku. Dzwonię do Halinki, by jej powiedzieć, że nie ma co na mnie dziś liczyć, gdyż zostanę tu do poniedziałku. Co jakiś czas dostaję nowe kroplówki, m.in. antybiotyki i środki przeciwbólowe. Cały czas mam cewnik, którym spływa krwiomocz do plastikowej torby,

która jest przytroczona zmyslnym plastikowym wieszakiem do łóżka. Na razie komplikacji żadnych nie ma, ale jak będzie dalej, trudno powiedzieć. Na salę w godzinach rannych przybywa nowy pacjent, po sześćdziesiątce, z Biłgoraja. Ma jutro operację. Jest znajomym ordynatora, dr Ławińskiego, który się nim opiekuje. Wkrótce jednak na sali znów będzie nas tylko dwóch, bo pan Marcin z Nowego Sącza, otrzymuje około 13.00 dokumenty i wraca do domu. Przyjedzie po niego samochodem brat. Droga z Nowego Sącza do Rzeszowa wynosi ponad czy blisko 200 km. Dzięki niemu miałem bieżące informacje o tym, co się dzieje na gieldzie, bo miał taką aplikację w telefonie. Teraz to się skończyło. Niestety! O 13.30 na sali pozostają już tylko sam, bo pan z Biłgoraja został przeniesiony na salę przedoperacyjną. Dzwonię do Halinki po południu, by jej przekazać wiadomości o moim zabiegu i samopoczuciu. Jak na razie jest dobre. Ona zaś opowiada o Patrycji i wydarzeniach z naszego blokowiska, m.in. że zmarł jakiś sąsiad, którego jednak nie kojarzę. Zapytam o to, gdy wrócę. Patrycja ma okropnych sąsiadów, którzy wparowali do jej mieszkania i zrobili awanturę, że dzieci, Paulinka i Mateusz, zbyt głośno się zachowują. – Natomiast innym – mówi ze złością córka – ma nie przeszkadzać, gdy ci państwo wieczorami słuchają głośnej muzyki – dodaje. Najgorsze jest to, że ta pani właśnie to nauczycielka. Kim jest on, nie wiadomo. Patrycja następnego dnia postanowiła z Krzyśkiem poskarżyć się policji. Tam dowiedziała się, że partner sąsiadki z dołu, musiał mieć jakieś problemy z prawem, bo policja kazała sprawę oddać do sądu lub prokuratury o naruszenie nietykalności osobistej. Jak dalej sprawa się potoczy, nie wiem.

Dziś po południu przeszły nad Rzeszowem gwałtowne burze z piorunami. Na oddziale jednak spokój, na salach jest 1, powyżej 2 pacjentów. Windą zjechałem na dół do sklepu, by zakupić wody niegazowanej i przy okazji wziąłem też 2 laski kabanosa, gdyż nie jem tego, co podają mi w szpitalu. Podczas obiadu zupę zwymiotowałem. Zdążyłem jednak zrobić to w toalecie. Niestety, wszystko, co teraz jem, nawet zupę mleczną i coś tam jeszcze, odpokutuję w nocy. Po kabanosie i lekach mam kłopoty gastryczne. A potem, gdy chcę się wypróżnić, niestety nie mogę. Obudzony ze snu lekarz dyżurny powiedział, była już godzina 22.00, że na noc niczego się nie daje, żadnych leków, także nie robi lewatywy, muszę z tym poczekać aż do rana. Zaczęła się dla mnie ciężka noc. Ciągłe wychodzę do toalety z workiem pełnym krwiomoczem i próbuję się wypróżnić. Jakaś ulga przychodzi dopiero około 1.00 w nocy. Udaje mi się potem zasnąć.

cdn.

Miroslaw Osowski



POEZJA

Anna Andrych, *Wychodzę na brzeg*. Redakcja, słowo wstępne, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębkowski. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: z archiwum autorki. Wydawca: Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2025, s. 82.

Anna Baśnik, *Listy Chany. Apokryf literacki*. Redakcja: Mateusz Brucki. Okładka i grafiki: Justyna Baśnik, Paweł Baśnik. Zdjęcie autorki: Elżbieta Wesołek. Archiwalne fotografie pozyskano za zgodą administratora strony „Warta wspomnień”. Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2024, s. 70.

Bogdan Białek, *Ostatni Hiob*. Projekt okładki: Tomasz Hołuj. Wydawnictwo Teofrast, Kielce 2024, s. 56.

Wojciech Kobus, *Twój stary parasol*. Projekt okładki i koncepcja graficzna serii: Piotr Zdanowicz. Ilustracja na okładce: Awalsia Askrobmysz. Biblioteka Poezji Współczesnej, tom 284. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2024, s. 48.

Kazimierz Kochański, *Książka z wierszami*. Na okładce i wewnątrz obrazy Anny Merskiej-Mitan. Korekta i opracowanie typograficzne: Irena Nyczaj i Paweł Nyczaj. Wydawca: Irena Nyczaj, Kielce 2025, s. 80.

Edyta Kulczak, *ho ho!* Ilustracje: Witold Zakrzewski. Redakcja: Tomasz Janas. Korekta: Marta Andrzejak. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Witold Zakrzewski. Zdjęcie autorki na okładce: Monika Muszkietka-Nowak. Wydawnictwo Miejskie Posenania, Poznań 2025, s. 64.

Końca świata nie będzie. Antologia poezji ukraińskiej. Redakcja i opracowanie: Krzysztof Śliwka. Wybór i przekład: Tomasz Pierzchała. Projekt graficzny: Paweł Król. Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu, Wrocław 2023, s. 372.

Marcin Ostrychacz, *Liragon*. Projekt okładki i koncepcja graficzna: Piotr Zdanowicz. Biblioteka Poezji Współczesnej, tom 278. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2024, s. 48.

Jolanta Stelmasiak, *Kobieta o sercu miedzianym i inne bajki*. Projekt okładki, zdjęcia, opracowanie graficzne: Maria Kuczara. Korekta: Agnieszka Nawrocka. Redaktor serii Biblioteka FONT i tomu: Lucja Dudzińska. Wydawca: FONT, Poznań 2024, s. 52.

PROZA

Joanna Domańska, *Hel*. Projekt okładki: Daria K. Kompf. Fundacja Duży Format, Warszawa 2023, s. 170.

Annie Ernaux, *Ciała*. Przełożyła: Agata Kozak. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024, s. 232.

Mirosław Konieczny, *Ja, ćpun*. Projekt okładki: Mirosław Konieczny i Kamil Baczewski. Rysunek na okładce: Zofia Wynne-Griffith. Agnieszka Konieczna, Kraków 2023, s. 282.

Mirosław Konieczny, *Jasionów cztery pory roku*. Projekt okładki: Mirosław Konieczny, Kamil Baczewski, Dominik Dubois. Agnieszka Konieczna, Kraków 2023, s. 208.

Mirosław Konieczny, *Moja wielka miłość i Mój dekalog*. Projekt okładki: Mirosław Konieczny, Kamil Baczewski. Zdjęcie na okładce: Mirosław Konieczny. Agnieszka Konieczna, Kraków 2023, s. 98, wydanie II.

Mirosław Konieczny, *Ostatni hippis PRL-u, czyli metafizyka pół... makowych*. Projekt okładki: Mirosław Konieczny i Kamil Baczewski. Ilustracje: Alicja Wróbel. Obraz na okładce: Zofia Wynne-Griffith. Agnieszka Konieczna, Kraków 2023, s. 252, wydanie II.

Mirosław Konieczny, *Ostatnie opowiadanie ostatniego hippisa PRL-u*. Projekt okładki: Mirosław Konieczny i Kamil Baczewski. Rysunek na okładce: Zofia Wynne-Griffith. Agnieszka Konieczna, Kraków 2023, s. 146, wydanie II.

Mirosław Konieczny, *Pamiętnik znaleziony w starym komputerze Olivetti*. Projekt okładki: Mirosław Konieczny i Kamil Baczewski. Obraz na okładce: Zofia Wynne-Griffith. Agnieszka Konieczna, Kraków 2023, s. 130.

Mirosław Konieczny, *Pijani wiatrem, Anita i słońcem*. Projekt okładki: Mirosław Konieczny i Kamil Baczewski. Obrazy na okładce: Zofia Wynne-Griffith. Agnieszka Konieczna, Kraków 2023. Część I, s. 500; część II, s. 468.

Mirosław Konieczny, *Sny o Victorii*. Projekt okładki: Mirosław Konieczny i Kamil Baczewski. Ilustracje i obraz na okładce: Zofia Wynne-Griffith. Agnieszka Konieczna, Kraków 2023, s. 260, wydanie II.

DRAMAT

Kim de L'Horizon, *Drzewo krwi*. Przełożyła: Elżbieta Kalinowska. Projekt okładki i stron tytułowych Liibbeke Naumann Thoben, Kolonia. Na okładce wykorzystano zdjęcie rzeźby Apolla i Dafne Gianlorenza Berniniego © ColoArt / Shutterstock. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024, s. 352.

Elizabeth Wetmore, *Walentyńska*. Przełożyła: Hanna Pasierska. Projekt okładki: Tomasz Majewski. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024, s. 368.

Mirosław Konieczny, *Basquiat, Szaman i inne drobiazgi*. Projekt okładki: Mirosław Konieczny i Kamil Baczewski. Obrazy na I i II stronie okładki: Mirosław Konieczny z cyklu 300 ikon buddyzmu tybetańskiego. Agnieszka Konieczna, Kraków 2023, s. 468.

Oscar Wilde, Thomas Mann, Gerhart Hauptmann, *Libretta Literackie. Salome. Śmierć w Wenecji. Czarna Maski*. Libretta na podstawie arcydzieł literatury do muzyki Richarda Straussa, Benjamina Brittena i Krzysztofa Pendereckiego. Przełożył i opracował Antoni

Libera. Wstęp: Marcin Gmys. Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Tarasiuk. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024, s. 318.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Anna Agustyniak, *Na targu niewolników III Rzeszy*. Zdjęcia z archiwum Jana Śliwińskiego. Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2024, s. 204.

Andrzej Friszke, *Czekanie na rewolucję. Komuniści w II Rzeczypospolitej 1921-1926*. Projekt okładki i układ typograficzny: Marcin Hernas | tessera.org. Seria Historyczna, tom 47. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2023, s. 608.

Jacek Hajduk, *Józef Wittlin w Ameryce. Klasycznie obcy*. Projekt okładki, opracowanie typograficzne: Marcin Kiedio. Fotografia autora na skrzydełku: Kamila Labno-Hajduk. Biblioteka „Więzi”, tom 395. Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2023, s. 256.

Kamil Janicki, *Dziesięcina. Prawdziwa historia kleru w dawnej Polsce*. Redaktorzy prowadzący: Bogumił Twardowski, Adrian Stachowski, Oliwia Łuksza. Marketing i promocja: Agata Gać. Redakcja: Agnieszka Czapczyk. Korekta: Justyna Techmańska, Damian Pawłowski. Recenzja naukowa: Michał Rauszer. Projekt typograficzny: Grzegorz Kalisiak. Projekt okładki i stron tytułowych: Ula Pągowska. Ilustracje na okładce: Alamy. Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., Poznań 2025, s. 446.

Piotr Kołodziejczak, *Poradnik początkującego pisarza*. Opieka redakcyjna: Agnieszka Gortat. Redaktor prowadzący: Agata Czapłarska. Korekta: Monika Bronowicz-Hossain, Agata Czapłarska. Opracowanie graficzne: Marzena Jeziak. Projekt okładki: Przemysław Szczepkowski. Wydawca: Borgis sp. z o.o., Warszawa 2025, s. 318.

Alicja M. Kubiak, *Książę z prowincji w wielkim świecie*. Redakcja: Ryszard Smolak. Projekt okładki: Jacek Rosiak. Fotografie: Renata Master-nak. Fotografia Autorki: Inga Fedorowicz. Wydawca: Wydawnictwo Złota Kolekcja, Warszawa 2025, s. 124.

Artur Nowak, Stanisław Obirek, *Gehenna. Kościelna okupacja kościoła*. Redakcja: Jacek Świąder, Paweł Sajewicz. Korekta: Agata Nastula. Projekt okładki: Tomek Majewski. Zdjęcie na okładce: Alessandra Benedetti – Cobis / Contributor of Getty Images. Opracowanie graficzne: Elżbieta Wastowska, ProDesGraf. Redaktorka prowadząca: Katarzyna Kubicka. Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025, s. 364.

Stefan Rusin, *Odyseje*. Redakcja: Sebastian Wysocki. Na I stronie okładki reprodukcja projekt tkany artystycznej autora. Na IV stronie okładki zdjęcie autora. Wydawnictwo Glicynia, [bez miejsca wydania], s. 268.



Miroslaw G. Majewski

Buszujący w antykwariatach (5)

Stare porzekadło powiada, że darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda; książkę „Bóg odszedł z poczuciem winy” na polecenie Tadeusza Bartoś otrzymałem prosto z wydawnictwa zaliczając się zapewne do grona pierwszych czytelników, którzy ją przeczytali. Jednym słowem zająłem koniowi w zęby i ani trochę się nie zawiodłem. Słowem wstępnym książkę opatrzył Piotr Augustyniak, z którym swego czasu przeprowadziłem wywiad dla jednego z kwartalników. Piotr jest tym dobrym duchem, który sprawił, że ta książka w ogóle do mnie dotarła.

Co do samej książki jest jednocześnie wywiadem rzeką i autobiografią Tadeusza Bartoś. Prowadzącym rozmowę jest Artur Nowak, postać ikoniczna, znana wielu czytelnikom nie tylko z kręgów antyklerykalnych.

Książka zawiera mnóstwo fotek z rodzinnego albumu Tadeusza Bartoś, możemy zobaczyć autora jako niemowlaka w dziecięcym wózku z mamą, niewiele starszego w ramionach babci, na klaustrofobicznym podwórku z futbolówką, z przystąpienia do I komunii, bierzmowania, fotki z beztróskich wakacji, z saksofonem z czasów szkoły muzycznej, oraz sporo fotek już w białym habicie dominikanina, który autor nosił przez 20 lat, dopóki nie dojrzał do decyzji, aby opuścić zakon i zacząć wszystko od nowa. A z rozmowy wynika, że nie była to łatwa decyzja.

Artur Nowak z zacięciem dziennikarza śledczego wypytuje Tadeusza Bartoś, o każdy szczegół, i o ile rozmowa do momentu święceń kapłańskich jest bez nerwu, o tyle od założenia habitu zaczynają przeważać antyklerykalne pytania Artura Nowaka, który nie ukrywa swojego ateizmu i robi wszystko, aby Tadeusz Bartoś śpiewał z nim w jednym chórze. I tu jest cały cymes tej książki, dowiadujemy się rzeczy, o których przeciętny katolik nie ma pojęcia, ponieważ mieć go nie może. To, co dzieje się za murem klasztornym ma pozostać za tym murem, chyba że jesteś jednostką, która nie zgadza się na trzymanie wody w ustach, ponieważ absurdalne jest to niezgodne z twoim sumieniem. Uniwersum życia klasztoru ma swoje ciemne strony, co rusz przewija się wątek autorytarnego stylu rządzenia przyrównywanego do komunistycznych i faszystowskich dyktatur, plus sprawy seksualności z lobby gejowskim zwanym lawendową mafią. Chciałoby się rzecz, że nie wszystko złoto co się świeci. Dla

niewtajemniczonego czytelnika może być to istne trzęsienie ziemi, ale zakładam, że po takie książki nie sięgają szeregowi parafianie, chociaż moim zdaniem powinna być to lektura obowiązkowa.

Tadeusz Bartoś umiejętnie oddziela system od ludzi uwikłanych w ten system, nie wylewa dziecka z kąpielą, jakby, moim zdaniem, chciał tego Artur Nowak, który kwituje to tak: *No widzisz, wystarczyłoby, żebyś w to poszedł. Byłbyś autorytetem. Chodziłbyś do telewizji, uprawiał jakąś ostrą krytykę Kościoła, chwalił Franciszka, obso-baczył czasem Jędraszewskiego... Stary, wszyscy by cię kochali. No i mówili: „Chujowy ten kościół, ale jest w nim Bartoś”.*

Tadeusz Bartoś, co może się wielu wydawać dziwnym, ucieka od taniej sensacji, czyniąc z siebie pokrzywdzonego przez machinę kościelną wojownika o świecki światopogląd. W wywiadzie tym wyciągane są niczym z cylindra magika znane postacie, zarówno z kościoła, jak i spoza jego struktur, że wymienię choćby Adama Michnika czy Leszka Kołakowskiego. Rzecz jasna nazwisk jest więcej, i czasem Tadeusz Bartoś waha się czy je wymienić. Poza dyktatem kościelnej władzy, niewolniczego poddaństwa niższego kleru, lawendowej mafii, jest też poruszony kontrowersyjny temat spowiedzi dzieci, którym kościół wmawia, że są grzeszne od urodzenia (wynalazek św. Augustyna z IV w.) i potrzebują rozgrzeszenia, które mogą znaleźć jedynie w kościele, i właściwie jest to podsumowanie tego wywiadu/autobiografii.

Kościół działa na zasadzie wzbudzania w wiernych poczucia winy. Bez poczucia winy kościół by nie istniał. Czyż nie warto się nad tym głęboko zastanowić?

I już na koniec, często Artur Nowak zadaje Tadeuszowi Bartośowi tak skonstruowane pytania, aby jego interlokutor potępił kościół w czambuł, ponieważ on sam niczego dobrego w nim nie widzi, czego można się dowiedzieć z książki „Chrześcijaństwo. Amoralna religia” którą napisał wspólnie z Ireneuszem Ziemińskim.

Na pośrednie pytanie Nowaka, czy jest ateistą, Tadeusz Bartoś oponuje pokazując zupełnie nową postawę, przytoczę tylko jedno zdanie z tego długiego wywiadu: *Ze sposobem myślenia „jesteś za czy przeciw” niewiele ma wspólnego. Moja perspektywa? Chcę przyglądać się człowiekowi i temu, jak doświadcza świata.*

Profesor Bartoś nie godzi się na zero – jedyńką ocenę kościoła, przynajmniej nie do końca. Co prawda twierdzi, że król jest nagi, ale nic ponad to. Przypuszczam, że ma nadzieję, że czytelnik sam sobie dopowie, że co prawda król jest nagi, ale to nadal król.

Bóg odszedł z poczuciem winy. Tadeusz Bartoś w rozmowie z Arturem Nowakiem. Prószyński Media Sp. z o.o. Warszawa 2025.

„Pytany cień”

– muzyczna medytacja
Mariusza Wdowina
nad poezją Jana Tulika

(Dokończenie ze strony 20)

puls napięcia. Z kolei „Darowane, odebrane, obiecane” rozwija się jak opowieść o trzech czasach: przeszłości, stracie i nadziei, a muzyka subtelnie przeprowadza słuchacza przez te stany. Tytułowy „Pytany cień” działa jak kłamra – zbiera w sobie pytania obecne w całym albumie, rozpisując je na ciche dialogi między głosem a instrumentami.

O sile tej płyty decyduje przede wszystkim równowaga. Poezja Tulika jest traktowana z szacunkiem – muzyka nie służy za tło ani ornament, lecz staje się partnerem słowa, współtworzy sens, pomaga wybrzmieć pauzom i rytmowi wersów. Jednocześnie kompozytor pozwala sobie na własną ekspresję, dzięki czemu całość nie jest akademicką ilustracją tekstów, ale żywym spotkaniem dwóch wrażliwości. To album, który wymaga od słuchacza skupienia, cierpliwości, zgody na wolniejsze tempo odbioru. Dla jednych może być to wyzwanie – zwłaszcza jeśli oczekują szybkich, łatwych melodii – dla innych stanie się nagrodą: zaproszeniem do zanurzenia się w świecie, gdzie muzyka i poezja uczą wrażliwości na niuanse.

Jeśli można wskazać miejsca, które mogłyby zostać mocniej rozwinięte, to może kwestia dramatycznych kontrastów. Czasem chciałoby się, by różnice między cichym światłem a gwałtownym cieniem były jeszcze ostrzejsze, by kulminacje miały większą siłę. Nie jest to jednak zarzut, raczej sugestia, że ten materiał ma potencjał do jeszcze odważniejszych przełamań. Z drugiej strony jednorodność klimatu bywa atutem: utrzymuje spójność, tworzy przestrzeń, w której słuchacz może się zatrzymać i wsłuchać w detale.

Pytany cień to płyta, która spełnia marzenie o tym, czym powinna być dobra muzyka poetycka: spotkaniem słowa i dźwięku, w którym każdy element ma znaczenie. Nie jest to album użytkowy ani tło do codziennych czynności, lecz zaproszenie do wspólnej refleksji nad tym, co kruche, tajemnicze, pełne sensów ukrytych pod powierzchnią rzeczywistości. Wdowin i Tulik tworzą duet wyjątkowy – ich sztuka wymaga uważności, ale w zamian daje słuchaczowi poczucie obcowania z czymś prawdziwym, pięknym i potrzebnym.

Andrzej Dębowski

Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor naczelny – Andrzej Dębowski.

Współpraca: prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Justyna Miszczak, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e-mail: andrzejdebowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl